

lipiec 2013

1,23 zł (w tym 23% VAT)

ISSN 2084-4999



Alter pop #12

Dźwięk:

Obraz:

Słowo:

Interakcje:

Alter
pop
MAG E-ZINE

numer 12
lipiec 2013
ISSN 2084-4999

Redaktor naczelny
Tadeusz Bisewski

Redakcja
Kamil Downarowicz
Karolina Joisan
Maciej Kaczmarowski
Ana Matusevic
Wojciech Onyszków

Korekta
Michał Adamski

Wydawca
Alterpop Media s.c.
ul. Śląska 35/37
81-310 Gdynia

PREMIERY

plytowe

#ambient #elektronika #idm

Boards of Canada

Tomorrow's Harvest

Rok 2013 można uznać za czas muzycznych powrotów. Najpierw Bowie i Suede, potem Daft Punk i My Bloody Valentine, a teraz Boards of Canada ze swoim czwartym albumem, który poprzedziła enigmatyczna kampania reklamowa. Singiel **Reach For The Dead** delikatnie sugerował coś nowego, jednak Marcus Eoin i Michael Sandison pozostali niemal dogmatycznie wierni swojemu brzmieniu. Pierwsze utwory zaczęły powstawać tuż po płycie **The Campfire Headphase** (2005), co zdecydowanie słyhać na nowym krążku. To nadal te same oniryczne dźwięki starych analogowych syntezatorów, ambientowe przestrzenie nie z tej Ziemi, hipnotycznie melodyjne beaty i atmosfera wahająca się od tęsknej do złowróżbnej. Jedną z niewielu innowacji jest prawdziwa perkusja, nagrana „na żywo, ale w studiu”. Kiedy duet wspina się na szczyt, jak robi to w kapitalnym **Palace Posy**, efekt jest doskonały. Niektóre kompozycje sprawiają wrażenie szkiców, przedwcześnie urwanych i nierozwiniętych, przypominających soundtracki do starych filmów grozy, którymi bracia inspirowali się na rów-



ni z motywami zmian klimatycznych i apokalipsy. Inne utwory odwrotnie – są niepotrzebnie rozwleczone i zaskakująco wtórne. Muzyka pada wówczas ofiarą własnego rozmachu. **Tomorrow's Harvest** wywołuje sprzeczne odczucia. Powrót starego, dobrego BoC cieszy, ale brak nowości nieco rozczarowuje. To solidny album, tyle tylko, że całkowicie przewidywalny.

#disco #elektronika #funk

Daft Punk

Random Access Memories

Po ośmiu latach milczenia (nie licząc ścieżki do filmu **Tron: Legacy** z 2010 roku) pionierzy tanecznej elektroniki powracają z albumem, na którym niemal zupełnie odcinają się od brzmień, pod jakie rzucili podwaliny. Płyta powstała przy użyciu starych syntezatorów, automatów perkusyjnych i vocoderów oraz jednego (!) sampla w kilku studiach nagraniowych na całym świecie. Nagranie płyty wsparł także udział orkiestry, dziecięcego chóru, utalentowanych sidemanów oraz takich postaci jak ikona elektroniki Giorgio Moroder, pionier disco Nile Rodgers czy Pharell Williams. Rezultat jest niebywały. Spektakularna odyseja przez brzmienia lat 70. i 80. – funk, disco, pop, prog- i soft-rock, a nawet musical, mini space opera oraz soundtracki do filmów science fiction. Zgodnie z tytułem jednego z utworów, Daft Punk – niezadowoleni z obecnej kondycji współczesnej „laptopowej” elektroniki – starają się tchnąć w muzykę nowe życie. Robią to w sposób przewrotny, odwołując się do „tradycyjnych” metod, co daje nostalgiczny i jednocześnie niezwykle świeży efekt.



Skala ocen:

Space Ritual

Stairway To Heaven

To musi być miłość

Dusza diabłu sprzedana

Nadciągą noc komety

I Can't Get No Satisfaction

Welcome To The Jungle

Ta piosenka powstała dla pieniędzy

**
Mam tak samo jak ty

*
Kim jest człowiek,
jeśli nie człowiekiem tylko

W epoce masowego rzemiosła muzycznego, radiowych singli i pojedynczych empetrójek z iTunes duet nagrał ambitny, pełen inwencji i rozmachu album, którego powinno słuchać się w całości i z uwagą, tak jak bywało to w złotych czasach longplayów. To nie tylko ich **Sgt. Pepper** czy **Dark Side of the Moon**. Być może **Random Access Memories** będzie dla drugiej dekady XXI wieku tym, czym dla lat 80. ubiegłego stulecia było **Let's Dance** Bowiego – klasyką muzyki tanecznej.

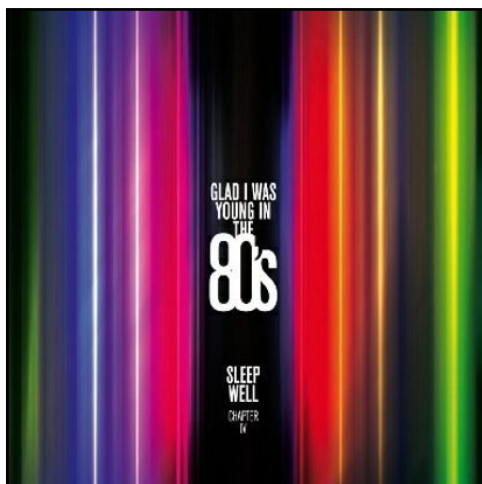
#covery #elektronika #polskie

Różni wykonawcy

Sleep Well Chapter IV:

Glad I Was Young In The 80's

Są dwie zasadnicze szkoły przerabiania cudzych utworów – albo nagrywa się wersje niewiele odbiegające od pierwowzorów, albo mniej lub bardziej radykalne wariacje. Skupieni wokół rodzimej oficyny Requiem artyści zinterpretowali sztandarowe piosenki lat 80. zgodnie z tym kluczem, toteż na czwartą część cyklu **Sleep Well** trafiły covery obydwu rodzajów. Autorskie rysy najwyraźniej przemycili: Maszyny i Motyle z Małgorzatą Florczak w demonicznej wersji **Lullaby** The Cure; Bolesław Błaszczyk, Soma i Marcin Bociński rekonstruujący **I Just Can't Wait** Mandy Smith oraz trio Maciej Staniecki, Bartek Księżyk, Łukasz Lach w subtelnej interpretacji **Ashes To Ashes** Davida Bowiego. Na drugim biegunie znajdują się covery kurczowo uczone oryginałów: **Cars** Gary'ego Numana w zachowawczej przeróbce Wojtka Konikiewicza, Roberta Marciniaka i Waldemara Jędruszaka oraz **Blue Monday** New Order w nieciekawym wykonaniu



The Complainer. Nieźle wypadają NOT + Pati w **The Dark Age Of Love** kolaboracji Coila i Marca Almonda. Jest też – choć to rzecz z 1978 roku – **Das Model** Kraftwerk, powtórzony niemal nuta w nutę przez Das Moon. Jest nawet cover do kwadratu: **Tainted Love**, pieśń Glorii Jones rozślawiona przez Soft Cell, tutaj w odsłonie projektu Fuka Lata. Dobra selekcja i niegorsze wykonanie.

#acid rock #psychodelia

The Black Angels

Indigo Meadow

Już pierwszy rzut oka na okładkę zdradza fascynację amerykańskiego kwartetu, który nazwę zaczerpnął z piosenki The Velvet Underground. Na swojej czwartej płycie The Black Angels kontynuują uprawianie szeroko pojętej stoner rockowej psychodelii w duchu Jefferson Airplane, The Doors i Strawberry Alarm Clock, czasami urozmaicając brzmienie szorstkim popem (**The Day**), quasi-reggae (**Holland**) czy ewidentnym, nawet na poziomie tytułu, ukłonem w stronę Black Sabbath (**Evil Things**). Podstawowe instrumentarium – przesterowane gitary, nisko zawieszony bas, kwaśne organy i wyraziste bębny – zostało uzupełnione o flet, fisharmonię i tybetańskie misy. Całość dopełnia znakomita produkcja i wysoki, niemal kobiecy głos Alexa Maasa, który brzmi niczym skrzyżowanie Syda Baretta i Grace Slick. Jedyne, czego brakuje, to zapadające w pamięć kompozycje – pod tym względem Anioły nieco obniżyły loty, dlatego najlepszym albumem zespołu pozostaje nadal kapitalny **Phosphene Dream** z 2010 roku. Ale i po **Indigo Meadow** warto sięgnąć,



choćby po to, by przenieść się pięć dekad wstecz bez konieczności zażywania LSD.

#elektronika #trip-hop

Tricky

False Idols

Tricky znał niegdyś wszystkie triki potrzebne do pisania świetnych kawałków. Potem pogubił się w pogoni za sławą, wydając przeciętne, wręcz kiepskie albumy. Trzy lata temu na **Mixed Race** wreszcie wrócił do formy, którą trzyma również na swojej najnowszej, dziesiątej już płycie. Promujący ją utwór **Nothing's Changed** nosi wielce znamienity tytuł. Rzeczywiście, wydaje się, że od czasów **Maxinquaye** i **Nearly God** nic się nie zmieniło – poza wokalistkami. Martina Topley-Bird i Björk zostały zastąpione przez Franceskę Belmonte, Nnekę i Fifi Rong. Reszta pozostała niezmieniona – na tle minimalistycznych podkładów, głębokich basów, przestrzennych bitów i niepokojących melodii Tricky snuje swoje mroczne opowieści charakterystycznym głosem na granicy mamrotania. Niezależnie od tego, czy bierze się za Patti Smith interpretującą Van Morrisona (**Somebody's Sins**), sampluje grupę Japan (**Hey Love**), czy przerabia folkowy utwór The Antlers na modłę Bristol soundu (**Parenthesis**) całość brzmi jakby była żywcem wyjęta z 1995 roku. Powracając do trip hopowych źródeł, artysta w pewnym sensie zatoczył koło i choć rezultat jest zadowalający, to docenią go głównie wierni fani – bo nowych raczej mu nie przysporzy.

Opracował: Maciej Kaczmarek



#stoner #rock

Queens Of The Stone Age

...Like Clockwork...

...**Like Clockwork**... to najbardziej przystępna rzecz w całej dyskografii Queensów i zarazem najlepsze wydawnictwo grupy od czasów **Songs For The Deaf**. Sporo tutaj gości – pojawiają się znane nazwiska jak: Trent Reznor (NIN), Elton John, Jon Theodore (Mars Volta), Jake Shears (Scissors Sisters) czy siedzący za bębnami w większości utworów Dave Grohl (Foo Fighters). Wszyscy doskonale sprawdzają się w swoich rolach, w czym zapewne nie mała zasługa głównego reżysera tego spektaklu – Mr. Josha. QOTSA to wciąż muzyczny, kipiący wulkan energii, w którym charakterystyczne rify i zabójcze tempo przyprawiają o zawrót głowy. Jednak pojawia się też kilka spokojniejszych momentów, w których prym wiodą ładne melodie. Znalazło się nawet miejsce dla syntetycznych brzmień i rozemocjonowanych ballad. Zaskoczeni? I bardzo dobrze! Takich niespodzianek nigdy dość!



#indie #rock #u2

The National

Trouble Will Find Me

Poprzednia płyta nowojorczyków okazała się sporym sukcesem komercyjnym i artystycznym. W tej sytuacji oczekiwania względem zespołu niepomrotnie wzrosły i każdy liczył, że ten nadal będzie mknął przed siebie „fioletową” autostradą. Śpieszę uspokoić – Matt Berninger wraz z ekipą nie zaparkowali swojej maszyny smutku w garażu, by żyła wspomnieniami mi-



nionych dni. ***Trouble Will Find Me*** nie zawodzi. W porównaniu do ***High Violet*** znacznie mniej jest tutaj zadziornych, gitarowych kawałków, za to znacznie więcej tych spokojnych o skondensowanym, oszczędnym brzmieniu. Na pierwszy plan wysuwa się wokal Berningera podkreślany uwypukloną perkusją. Instrumenty strunowe schodzą na dalsze tło i tworzą bardziej coś w rodzaju muzycznych plam niż konkretnych melodii. The National spoglądają tym razem w kierunku wczesnych dokonań U2 czy Joy Division. Na płycie pojawiają się nawet pianino i smyczki. Grupie nadal udaje się wzbudzić duże emocje u słuchacza, co dobitnie pokazuje, że temat o nazwie ***The National*** nie jest jeszcze wyczerpany.

#nu-metal #industrial #disturbed

Device

Device

Był sobie kiedyś taki gatunek muzyczny zwany nu-metalem, który pod koniec lat 90. zjednoczył zdolowanych freaków z całego świata. Pewnie sami macie znajomych, którzy z rumieńcem na twarzy przyznają się do słuchania w latach młodości takich rzeczy jak Korn, Slipknot czy Disturbed. Właśnie z tej ostatniej kapeli pochodzi David Draiman, który wraz z Genem Lenardem (ex Filter) powołał do życia Device. Obaj Panowie czują się najlepiej w ciężkim łojeniu, dlatego ich debiutancki krążek wypełniony jest piłującymi, energetycznymi riffami. Co ciekawe, wchodzi one w zaskakująco udany dialog z elektronicznymi, zimnymi rytmemi, tworząc tym samym przemyślaną i spójną industrialną całość. A żeby nie było za nudno, poja-



wiają się także utwory spokojniejsze, melodyjne, wpadające szybko w ucho. Za pierwszym razem **Device** słucha się nawet z umiarkowaną przyjemnością, później wszystko wydaje się aż nazbyt znane. Nu-metal, co prawda, jeszcze nie umarł, ale lata świetności ma już dawno za sobą i słychać to momentami bardzo wyraźnie.

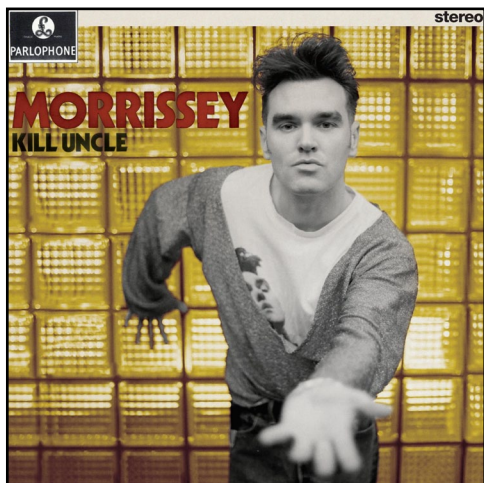
#rock #indie #reedycja

Morrissey

Kill Uncle

Każdy z nas ma czasami ochotę odbyć podróż w przeszłość i odświeżyć sobie album, który od lat kurzy się gdzieś w zakamarkach pamięci. Dobrą okazją do tego są reedycje. Pozwalają one zarówno przypomnieć sobie zapomniane tytuły, jak i spojrzeć na nie w nowym świetle. Nie inaczej jest z **Kill Uncle**. Płyta pierwotnie została wydana w 1991 roku. Zdobyła spore uznanie zarówno wśród krytyków, jak i publiczności. Dzisiaj wydawnictwo to powraca w nowej szacie graficznej i w wersji zremasterowanej jako podwójny CD oraz na winylu. Do oryginalnej zawartości krążka dodane zostały trzy utwory: **Pashernate Love** (b-side singla **You're The One For Me, Fatty**), **East West** (b-side singla **Ouija Board, Ouija Board**) oraz niepublikowana dotąd, nagrana „na żywo” w studio wersja utworu **There's a Place in Hell For Me and My Friends**. Jeśli jeszcze nie zrozumieliście fenomenu Morrisseya, koniecznie powinniście sięgnąć po ten tytuł. Zniwalaający głos eksfrontmana The Smiths wtopiony w piękne gitarowe dźwięki działa jak narkotyk. Uwaga! Łatwo można się uzależnić.

Opracował: *Kamil Downarowicz*



43 lata później

Black Sabbath

Muzyczno-dziennikarski światek wpadł w konsternację jak rzadko kiedy. Wszyscy się zastanawiają, czy zachwycają się tą płytą dlatego, że jest świetna, czy dlatego, że nagrał ją **Black Sabbath**.

Niżej podpisany z uwagą śledził wiadomości, które od kilkunastu miesięcy wpływały z obozu legendarnego Black Sabbath. Zaczęło się od plotek o tym, że grupa znów ma wejść do studia w tym pierwszym, najbardziej klasycznym składzie. Potem – powoli, acz systematycznie – wyciekały kolejne szczegóły. Wreszcie, 11 czerwca 2013 roku, nakładem Universal Music ukazał się krążek **13**. Król po latach tułaczki powrócił na tron.

Z nieba do piekła

W 2006 roku odbył się jeden z kolejnych reunionów Black Sabbath. Ten był jednak inny. Oficjalnie zespół wciąż pozostawał w zawieszeniu, zaś gitarzysta Tony Iommi i basista Geezer Butler, oryginalni członkowie grupy, zaprosili do współpracy wokalistę Ronniego Jamesa Dio oraz perkusistę Vinniego Appice'a, żeby stworzyć nowy projekt. Appice i Dio już wcześniej byli członkami Black Sabbath – obaj brali udział w powstawaniu krążków **Mob Rules** i **Dehumanizer**. Dio ponadto nagrał jeszcze z grupą płytę **Heaven and Hell**. Nazwa nowego projektu wiekowych już muzyków została za-

czerpnięta właśnie od tego albumu. W ten sposób zespół Heaven and Hell został oficjalnym następcą Black Sabbath. Nawet sam Ozzy Osbourne pobłogosławił byłym kolegom, choć



Heaven and Hell

na użycie szyldu Black Sabbath nie myślał pozwolić.

Heaven and Hell nagrało w 2009 roku ciepło przyjęty krążek ***The Devil You Know*** i ruszyło w trasę. Ptaszki ćwierkały, że Black Sabbath pozostanie już jedynie wzmianką na kartach encyklopedii, bo brzemień grupy przejmie ten nowy twór. Tak by się może stało, gdyby nie śmierć Ronniego Jamesa Dio, która wstrząsnęła muzycznym światkiem w roku 2010.

Iommi i Butler pozostali znów zdani sami na siebie. Jednak nie złożyli broni i w końcu dopięli swego. Udało im się przekonać stojącego dotychczas okoniem Ozzy'ego Osbourne'a do powrotu do studia pod szyldem Black Sabbath. Pośród fanów rocka i heavy metalu zawrzało. Wrze do dziś.

13

Dokładnie 11 listopada 2011 roku media powtórzyły oświadczenie grupy. Black Sabbath znów istnieje i ponownie w najklasyczniejszym składzie:



Black Sabbath

Osbourne, Iommi, Butler i perkusista Bill Ward. Grupa ogłosiła też, że rozpoczyna prace nad nowym krążkiem.

Nie obyło się jednak bez kłopotów. Zaczęło się od Warda, który nie dogadał się z resztą grupy w sprawie kontraktu. Na koncertach zastępował go początkowo Tommy Clufetos, znany z występów z Alice'em Cooperem, Robem Zombie, jak i z samym Ozzyem. Do studia z Black Sabbath Clufetos jednak nie wszedł. Wówczas grupa postanowiła zaprosić do współpracy Brada Wilka, byłego perkusistę Rage Against the Machine i Audioslave. Zaangażowanie Wilka jako muzyka sesyjnego nie wzbudziło większych kontrowersji. W jego stylu było słychać wyraźne wpływy zarówno Warda, jak i choćby Johna Bohnama z Led Zeppelin. W ten sposób bębniarz dobrze wpisywał się w charakter Black Sabbath.

Skład był, piosenki powstawały z wolna, acz systematycznie, aż do kolejnego kryzysu. Tym razem wywołał go Iommi, u którego zdiagnozowano chłoniaka. Wieść o nowotworze zdruzgotała sporą część środowiska muzycznego, które jeszcze nie odżałowało straty Dio spowodowanej rakiem żołądka. Iommi poddał się terapii, dzięki czemu powrócił do zdrowia i pracy w studio. I wtedy się zaczęło.

Media i fani na całym świecie śledzili poczynania grupy z wypiekami na twarzach. Muzycy bardzo powoli odsłaniali w wywiadach rąbka tajemnicy. W filmikach publikowanych w internecie i dokumentujących prace nad krążkiem, więcej mówili, niż grali. A mówili dość zdawkowo – że to najważniejsza płyta w ich karierze,

bo kto wie, czy nie ostatnia. Potem ujawnili tytuł – **13** – ponieważ to trzy-nasty studyjny album Black Sabbath. Następnie przedstawili okładkę, na której widnieje płonąca liczba **13**. Kolejny był singiel zatytułowany **God Is Dead?**. Potem teledysk do niego. 11 czerwca 2013 roku płyta trafiła w końcu do sklepów, a zespół mógł otworzyć butelkę wina i cieszyć się z murowanego sukcesu, niezależnie od jakości nagrań.

Sabbath, cholerny Sabbath

Sukces przyszedł. W chwili, gdy piszę te słowa, jest za wcześnie, żeby mówić o liczbach, złotych i platynowych płytach, ale o sukcesie już można wspomnieć. Po pierwszym tygodniu na sklepowych półkach **13** trafiło w Wielkiej Brytanii na szczyt

listy sprzedaży, powtarzając sukces **Paranoid** z 1970 roku. Między obiema płytami jest różnica – bagatela – 43 lat. Większość recenzentów pieje z zachwyty, że niby Black Sabbath rozpoczęło heavy metal, inspirując setki tysięcy kapel po dziś dzień, aż tu nagle to samo Black Sabbath po latach ewolucji tej muzyki idealnie odnajduje się w nowych realiach. Obrywa się tylko producentowi Rickowi Rubinowi – niektórzy zauważają, że album jest bardzo głośno zmiksowany, przez co jego brzmienie szybko męczy.

Niżej podpisany również piał z zachwyty. Polecał **13** każdemu, kto tylko zapytał: „Czy już słyszałeś?”. Pewnemu amerykańskiemu rysownikowi komiksów rekomendował na Twitterze płytę jako „prawdziwy Sabbath”, jakby każdy inny od czasu **Sabbath**



Black Sabbath w 1970 r.



Bloody Sabbath był fałszywką (i bez znaczenia jest to, że ulubioną płytą Black Sabbath niżej podpisanego jest znacznie późniejsza **Heaven and Hell**).

Aż przy którymś z rzędu przesłuchaniu w głowie niżej podpisanego zajaśniała myśl: „Zaraz, zaraz, czy kawałek **The End of Beginning** nie brzmi bardzo podobnie do 4 lata starszego **Hammer of Doom** Candlemass? Czy **Zeitgeist** nie przypomina przypadkiem za bardzo **Planet Caravan**? Czy ja tego wszystkiego już gdzieś nie słyszałem?” Odpowiedzi na wszystkie te pytania brzmią: „Tak”.

Konkluzja jest bardzo prosta. Cieszymy się, że Black Sabbath zebrało się ponownie, aby zrobić to, co potrafią najlepiej, czyli nagrać świetny krążek, umiejętnie balansujący między hard rockiem a doom metalem. Cieszymy się choćby dlatego, że dzięki

temu możemy na własne oczy zobaczyć, jak historia zatacza koło i zjada własny ogon albo przynajmniej tak nam się wydaje. Bo jak zmierzyć, ile w **13** jest Black Sabbath, a ile inspiracji setkami płyt, które nagrały inne zespoły zainspirowane Black Sabbath? Albo może to Black Sabbath inspirowało się swoją twórczością, używając do tego pośredników? Bo czyż to nie kwartetowi z Birmingham właśnie należy się palma pierwszeństwa, nawet gdyby za kilka lat zaczęli znów od nowa wymyślać już wymyślone? Tak czy inaczej, drodzy Alterpopowicze, czapki z głów. King of heavy metal is here.

Jakub Milszewski



Black Sabbath w 2013 r.



Sever Festival

music & more

2013
Węgorzewo
11-14 lipca

SCENA GŁÓWNA
PLAC KONCERTOWY
12 - 14 LIPCA, 18:00 - 02:00

PIĄTEK 12 LIPCA

UKEJE

SCENA GRAND PRIX

ANTI TANK NUN

OCN

FLAPJACK

Closterkeller

TIAMAT
(SWE)

SOBOTA 13 LIPCA

CLOCK MACHINE

SCENA GRAND PRIX

HARLEM

HUNTER
illusion

MY DYING BRIDE
(UK)

dark tranquillity
(SWE)

NIEDZIELA 14 LIPCA

KREUZBERG

SCENA GRAND PRIX

TEA

Diverside

COMA
SYMFONICZNIE

Korpiklaani
(FIN)

SCENA MUSIC & MORE
PLAC WOLNOŚCI
11 LIPCA, 18:00 - 01:00



VINTAGE

PORNO PARA RICARDO
(CU)

Box Canyon



Bethel

PARTNER GŁÓWNY



SPONSORZY:



PARTNERZY:



PATRONI:



Punk *w habicie*

The Monks

Wbrew obiegowej opinii punk rock nie narodził się w połowie lat 70. ani w Londynie, ani w Nowym Jorku. Stało się to już w 1965 roku na terenie dzisiejszych Niemiec, gdy pięciu amerykańskich ekszołnierzy o wyglądzie mnichów nagrało napędzany rżęzącymi gitarami, wykrzyczany antyhymn pod wymownym tytułem ***I Hate You***.



Połowa lat 60. była specyficznym okresem. Podzielony żelazną kurtyną na dwa wrogie obozy świat żył w cieniu zimnej wojny, która w każdej chwili mogła przerodzić się w otwarty atomowy konflikt. Jednocześnie i jakby w efekcie politycznych napięć zbliżała się rewolucja obyczajowa. W USA kontrkultura była coraz silniejsza i powoli zaczęła formować się w ruch hipisowski, a w Europie beatlemania osiągała swój szczytowy okres. Rock'n'roll był wszędzie, nawet w armii. Właśnie wtedy, w 1964 roku w amerykańskiej bazie wojskowej w Gelnhausen na terenie Republiki Federalnej Niemiec, powstał założony przez pięciu jankeskich żołnierzy zespół The Five Torquays. Powód? Nuda i sposób na zabicie czasu upływającego na służbie. Ot kolejna pół-amatorska kapela grająca stan-

dardy muzyki rozrywkowej – Chucka Berry'ego, Elvisa Presleya i trochę brytyjskiego rocka.

Skład The Five Torquays tworzyli: wokalista i gitarzysta Gary Burger, basista Eddie Shaw, klawiszowiec Larry Clark, gitarzysta rytmiczny Dave Day i perkusista Roger Johnston. Koncertowali w kilku miejscowych klubach, a także – na specjalny rozkaz dowództwa bazy – w różnych częściach kraju, aby ocieplić wizerunek Amerykanów wśród niemieckiej



The Five Torquays

społeczności. Kiedy członkowie grupy zakończyli służbę w wojsku, postanowili zostać w RFN i skupić się na muzyce. Byli coraz lepiej zgrani, ale też coraz bardziej znudzeni rutyną i odgrywaniem tych samych, cudzych utworów. Mieli jednak szczęście, bo trafili na osoby, które miały na nich pomysł. Karl Remy i Walther Niemann, pracownicy agencji reklamowej, ludzie sztuki i samozwańczy egzystencjaliści ze Stuttgartu zaproponowali formacji swoje usługi menedżerskie, rychły kontrakt i koncept nowego, wyrazistego wizerunku.

Zachęcany przez Remy'ego i Niemann kwintet stopniowo usuwał z repertuaru przeróbki standardów i skupiał się na tworzeniu autorskiego materiału. Muzycy zaczęli śmiało eksperymentować z brzmieniem. Day porzucił gitarę rytmiczną i sięgnął po elektryczne banjo, które stroił jak gitarę oraz zainstalował w nim dwa mikrofony. Johnston, wielbiciel wyrafinowanego jazzu, zrezygnował ze skomplikowanych struktur i wystukiwał na bębnach proste, niemal plemienne rytmy (tzw. überbeat). Burger agresywnie szarpał struny gitary i śpiewał na granicy krzyku. Całości dopełniały ciężki, kąśliwy bas Shawa, paranoiczne organy Clarka i coraz bardziej zaangażowane teksty, dalekie od uduchowionych piosenek o miłości czy przekazów pokoju. Shaw wspominał po latach: „Pozbyliśmy się melodii. Zastąpiliśmy ją dysonansem i ścierającymi się harmoniami. Wszystko było zorientowane na rytm”.

Wypracowanie odpowiedniego brzmienia zajęło rok i było okupione wieloma porażkami. Ale pewnego dnia nastąpił przełom, o którym opowiadał

Gary Burger: „Ćwiczyliśmy i w pewnej chwili musiałem się odlać. Oparłem gitarę o wzmacniacz i zszedłem ze sceny, ale zapomniałem wyłączyć sprzęt. Po chwili rozległ się potworny łomot. Zaczęło się od brzęczenia, które było coraz głośniejsze. Roger słysząc to, zaczął walić w bębny i wszystko razem zabrzmiało jak należy”. Sprzężenie zwrotne, hałas, dysonans – to była podstawa, na której zespół zbudował resztę. Jako jedni z pierwszych w muzyce rockowej świadomie używali metod zniekształcania dźwięku, wyprzedzając Hendrixa i Page'a. Eddie Shaw, charakteryzując uzyskane wówczas brzemienne, mówił: „Wyobraźcie sobie dźwięk Titanica skrobiącego górę lodową. To było jak odkrycie ognia. Od razu wiedzieliśmy, że to brzmienie należy do nas. Wynaleźliśmy całkiem nowy styl gry”.



The Monks

Love Came Tumblin Down

Szorstkiej muzyce towarzyszył radykalny wizerunek. Pod kierunkiem menedżerów muzycy przyodziali czarne garnitury imitujące habity (później nosili prawdziwe), zamienili krawaty na wisielcze pętle i ogolili czubki głów na podobieństwo mnisich tonsur. Mieli być „najlepszymi wśród najgorszych”. Shaw przyznał: „Czasami wizerunek był za mocny, ale przyzwyczailiśmy się do niego. To był dziwnie androgeniczny, prawie sztuczny wygląd. Niektórzy mówili, że nie wyglądamy autentycznie. Kiedy chodziłem po zatłoczonym klubie, ludzie dotykali mojej głowy, żeby sprawdzić, czy naprawdę jest ogolona. Hamburskie kurwy uważały, że jeste-





The Monks

śmy sprośni. Kochały nas”. Remy i Niemann starannie wystylizowali grupę na „anty-Beatlesów” i uzbroili ją w garść anarchistycznych manifestów. Stało się to ponad dziesięć lat przed tym, jak Malcolm McLaren zrobił casting do Sex Pistols. Tym sposobem The Five Torguays przeistoczyli się w The Monks.

Dzięki staraniom menedżerów zespół podpisał kontrakt z wytwórnią Polydor. Z nowym image’em i autorskimi piosenkami, Mnisi wyruszyli w tournée. Supportowali gwiazdy – m.in. The Kinks, Bill Haley & The Comets, The Troggs. Grali też z Jimim Hendrixem, wówczas mało znanym artystą. Występ The Monks zrobił duże wrażenie na przyszłym mistrzu gitary, który wypytywał Burgera o techniczne kwestie sprzężeń. Inna anegdota głosi, że w trakcie trasy po Szwecji grupa

zatrzymała się w miejscu wynajętym przez lokalnego organizatora. Po koncercie w pokojach odbywało się regularne afterparty – kobiety, narkotyki, alkohol. Personel przybytku był zbulwersowany, a jeden z pracowników wyraził swoje oburzenie w obecności Mnichów, wyjaśniając szybko, że nie jest recepcjonistą, lecz... opatem. Okazało się, że organizator koncertu – przekonany o tym, że to świetny chwyt marketingowy – zarezerwował kwatery w prawdziwym monastyrze.

The Monks byli w trasie w sumie przez półtora roku, siedem dni w tygodniu, sześć do dziewięciu godzin dziennie. W klubach dużych i małych (wśród których znalazł się hamburski Top Ten Club, gdzie kilka lat wcześniej występowali Beatlesi) gromadzili tłumy, nawet pół tysiąca osób. Dzicy

Amerykanie grali przed ułożoną, zachowawczą niemiecką publicznością. Kiedy słuchacze zaczęli rozmawiać lub w jakikolwiek inny sposób ignorować muzyków, ci podkreślali głośność do maksimum i sięgali po najbardziej hałaśliwe utwory. Nie chcieli, by ludzie robili cokolwiek innego poza słuchaniem gry zespołu. Niektórzy ich kochali, większość była zdezorientowana przedziwnym wizerunkiem i jeszcze bardziej osobliwą muzyką. Bywały też reakcje otwarcie wrogie – podczas jednego z koncertów rozwścieczony mężczyzna wskoczył na scenę i próbował udusić Burgera za rzekome bluźnierstwo. Burger obronił się, uderzając napastnika gitarą.

Występy The Monks szybko stały się lokalną atrakcją, czymś w rodzaju pokazu dziwolągów. Stanowili prawdziwe kuriozum. Kiedy wyczuwali wśród publiki fanów Wielkiej Czwórki, grali sarkastyczną wersję ***I Want To Hold Your Hand*** z tekstem: „I want to fuck your hand”. Nieobce były im także nieodłączne atrybuty rock’n’rolla – seks i narkotyki. Roger Johnston wspominał: „Wszyscy piliśmy. Zwłaszcza ja, Gary i Dave. Eddie był żonaty, więc rzadko się z nami szlajał. Larry nie imprezował. Jeździł na harleyu albo grał w szachy. Wszyscy poza Eddiem uganiaли się za dziewczynami. [...] Byłem zmęczony, grałem całą noc i piłem do późna, aby to odreagować. Oma dawała mi tabletkę, żeby mnie postawić na nogi przed koncertem następnego wieczoru”. Oma była starą Niemką, babcią klozetową, która na boku handlowała narkotykami. Kilka lat wcześniej w tym samym klubie podsuwała amfetaminę Johnowi Lennonowi.



The Monks

Freak Out/How To Do Now

Po nagraniu kilku demówek w Ludwigsburgu, w listopadzie 1965 roku The Monks weszli do studia w Kolonii i zarejestrowali materiał na debiutancki album. Głośna, hałaśliwa muzyka doprowadzała do szału studyjnych techników, ale producentowi płyty, Jimmy’emu Bowienowi, jakimś cudem udało się okiełznać grupę i uchwycić energię występów na żywo. Album zatytułowany ***Black Monk Time*** został zresztą nagrany na tzw. setkę (wokale dodano później). Jak wspominał Gary Burger: „Nigdy nie zagraliśmy jednej piosenki w ten sam sposób. Budowa była podobna, ale potrafililiśmy naprawdę odjechać. Produkcja płyty nie była w stanie uchwycić sprzężeń we właściwy sposób. Na żywo były naprawdę głośne. Ale przyznaję, że na albumie brzmieliśmy podobnie do tego, co prezentowaliśmy na scenie”.

Album ukazał się w marcu 1966 roku. Prosta, czarna okładka z nazwą zespołu i tytułem skrywała obezwładniającą, agresywną muzykę, jakiej dotąd pory nie słyszano. Atak rozpoczął się od spazmatycznego ***Monk Time*** z nerwowo wykrzyczanym tekstem: „Nie lubimy armii! [...] Czemu zabijacie te wszystkie dzieciaki w Wietnamie? Szalony Wietkong! Mój brat zginął w Wietnamie. [...] Nie lubimy bomby atomowej! Nie podoba mi się to, przestańcie!”. Dalej było równie bezkompromisowo. Ostre, obrazoburcze słowa utworów o takich tytułach jak ***Shut Up, Complication*** czy ***Drunken Maria*** rozbijały się o potężną ścianę kaskadowego dźwięku. W osławionym



I Hate You, piosence-reakcji na mdlącą słodycz Beatlesów Burger wrzeszczał: „Nienawidzę cię całym sobą, skarbie”, zaś chórek dodawał: „Ale zadzwoń do mnie”. Nihilizm, mizoginia i frustracja zakłęte w nieprzystępnych dźwiękach – kilka lat przed Iggy & The Stooges i dekadę przed punkową rewoltą.

Zaledwie półgodzinna płyta do dziś robi piorunujące wrażenie, zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę kontekst czasoprzestrzenny, w jakim powstała. Surowa i pełna napięcia oraz furii muzyka nie tyle nie trafiła w swój czas, co po prostu go wyprzedziła, antycypując zarówno nurt punkowy, jak i krautrock. Wtedy nikt nie grał w ten sposób. Nawet mistrzowie garage rocka, The Sonics czy The Trashmen

(autorzy przeboju ***Surfin' Bird***) nie byli tak radykalni. Słynny utwór ***Paralyzed*** Legendary Stardust Cowboy, który wiele zawdzięcza Mnichom, powstał dopiero w 1968 roku. Jedyny i dość umowny punkt odniesienia do stylu The Monks to The Velvet Underground, którzy zaczęli karierę mniej więcej w tym samym czasie. Podobnie jak ekipa Lou Reeda, Mnisi odcinali się od harmonijnych, pełnych miłości i filozofii wschodu hipisowskich hymnów. Krytykowali wojnę i odhumanizowane społeczeństwo. Grali tak, jak gdyby ledwo umieli i niczym się nie przejmowali.

Z oczywistych powodów The Monks nie osiągnęli komercyjnego sukcesu. Płyta sprzedawała się słabo – pierwsza



The Monks u fryzjera ;)

wypłata wyniosła 40 marek (niecałe 10 dolarów) na głowę. Koncerty były coraz bardziej wyczerpujące, a granie w tych samych, śmierdzących zwietrzałym piwem spelunach straciło swój urok. Shaw opowiadał: „Pytaliśmy, kiedy zagramy w Ameryce. Powiedziano nam, że najpierw musimy mieć tam przebój. Problem polegał na tym, że nie chcieli nam wydać płyty w Stanach”. Zgrzytliwa zawartość **Black Monk Time** skutecznie odstraszała wydawców w USA. Kiedy Polydor próbowała sprzedać płytę do dystrybucji w ojczyźnie muzyków, odzew amerykańskiego oddziału był zdecydowany: „Nie dotkniemy tego kijem z odległości trzech metrów. Nigdy, przenigdy. Ten album nie pojawi się w Stanach”. Ostatecznie ukazał się tam dopiero w 1997 roku, ponad 30 lat po premierze. Dziś najlepiej zachowane egzemplarze oryginalnego europejskiego wydania winylowego osiągają na aukcjach ceny od 1000 euro wzwyż.



The Monks

Boys Are Boys and Girls Are Choi

The Monks potrzebowali przeboju, dzięki któremu mogliby się przebić do pierwszej ligi popu. Złagodzili wizerunek, zapuszczając włosy i zastępując quasi-mnisie szaty codziennym ubiorem. Ugrzecznili też repertuar – kolejne single były przystępniejsze w porównaniu do piosenek z **Black Monk Time**, ale przepadły w muzycznych zestawieniach. W ostatnim, nieco desperackim geście promocji, wymyślono tournee po... Wietnamie. Pomysł podzielił muzyków. Shaw potraktował go jako rodzaj kosmicznego testu i był gotów jechać. Burger uważał, że to nie-

dorzeczne, i że jeśli nie zastrzeli ich Wietkong, to zginą z rąk amerykańskich żołnierzy, rozsierzonych antymilitarnymi tekstami, wyznaniami nienawiści i jazgotliwą muzyką. Najbardziej nieprzejednany był Johnston, który w ramach protestu po prostu wyjechał do Ameryki. Kolegom wysłał pocztówkę ze słowami: „Nie mogłem tego dłużej wytrzymać”. Tournee nie doszło do skutku, podobnie jak wydanie drugiego albumu. Niedługo później Remy i Wiemann zrezygnowali z reprezentowania zespołu. Przepadł także kontrakt z Polydorem. Tym samym w 1967 roku The Monks oficjalnie zakończyli działalność.

Muzycy wrócili do Ameryki, by wieść zwykłe, przeciętne życie (jedynie Dave Day został w Europie jeszcze przez 9 lat, prowadząc pustelniczą egzystencję w niemieckich kniejach). Nie utrzymywali ze sobą stałego kontaktu. Nie lubili wracać do tamtych czasów, uznając je za porażkę i zmarnowaną szansę kariery. Przyszłość członków zespołu potoczyła się różnie. Gary Burger prowadził firmę audio-video, a obecnie jest burmistrzem Turtle River w Minnesocie. Larry Clark skończył szkołę i pracował w firmie IBM aż do emerytury. Regularną etatową pracę zajął się też Roger Johnston. Eddie Shaw jako jedyny kontynuował karierę muzyczną, jednak bez powodzenia. Dziś jest wydawcą, pisarzem i autorem oficjalnej autobiografii The Monks, **Black Monk Time**. Publikacja książki w 1994 roku przyczyniła się do wznowienia jedynej płyty zespołu na CD z dodatkowymi utworami. Niezrozumiani i odrzuceni w latach 60., trzydzieści lat później The Monks nieoczekiwanie stali się przedmiotem kultu.

„Raz włączyłem radio i usłyszałem jeden z naszych utworów. Piosenka



The Monks w radiu! Nie mogłem w to uwierzyć. [...] To było przedziwne uczucie.” – dziwił się Larry Clark. W 1990 roku The Fall nagrali cover **I Hate You** pod tytułem **Black Monk Theme**. Nagle okazało się, że Mnisi zainspirowali całe pokolenia artystów. Beastie Boys, Radiohead, Dead Kennedys, Henry Rollins, The White Stripes, The Horrors i Jon Spencer Blues Explosion – to tylko niektóre formacje, które przyznają się do wpływu The Monks na ich twórczość. Mnichów zaczęto postrzegać jako zespół, który choć stworzył bardzo niewiele materiału, to był on niezwykle wpływowy i wizjonerski. Rosnące zainteresowanie przyczyniło się do krótkotrwałej reaktywacji zespołu. W 1999 roku The Monks wystąpili w pełnym składzie po raz pierwszy od 32 lat i znów z ogolonymi głowami. Zapisem tego koncertu jest album **Let's Start A Beat**. Dyskretnie jednak przemilczano fakt, że niedysponowanemu



The Monks

Burgerowi pomagał zaprzyjaźniony wokalista. Później muzycy odrzucili sporo innych ofert koncertowych, odmówili także przyjęcia do Rock and Roll Hall of Fame i nie zgodzili się na występ w Prince Albert Hall. Shaw mówił w wywiadach: „Jeśli naprawdę jesteśmy pierwszymi punkami, to chyba powinniśmy mówić «nie» wszystkiemu, co przyniosłoby nam sukces. Jesteśmy ofiarami własnych zasad. Najpierw pracujesz. Potem umierasz. I tyle”.



The Monks *Shut Up!*

W 2006 roku odbyła się premiera filmu dokumentalnego **Monks: The Transatlantic Feedback**, któremu towarzyszył album **Silver Monk Time: A Tribute to The Monks** – soundtrack i zarazem hołd z coverami nagrany m.in. przez Psychic TV, Alec Empire, Mouse On Mars i Faust. Przy okazji premiery The Monks zagrali w Niemczech specjalny koncert. Była to prawdopodobnie ostatnia reaktywacja grupy – w roku 2004 zmarł Roger Johnston, zaś przed pięcioma laty odszedł Dave Day. Pamięć o The Monks jest jednak żywa jak nigdy wcześniej, o czym świadczy anegdota, którą przytaczał Shaw: „Spotkałem w Carson City jednego faceta, który był kiedyś żołnierzem. Umawiał się z Niemką i ona zabierała go do klubów w Hamburgu. Kiedy dowiedział się, że grałem w The Monks, powiedział: «Widziałem was dupki. Co to kurwa był za gatunek muzyki? Nie podobało mi się, ale nigdy tego nie zapominałem»”.

Maciej Kaczmarski

r o z m o w a

Oszibarack

W obozie wrocławskiego zespołu **Oszibarack** nastąpiło sporo zmian. O najnowszej płycie **12** oraz o powodach opuszczenia grupy przez jej wieloletnią wokalistkę – Patrisię, rozmawiamy z **Agim Dželjilji**.

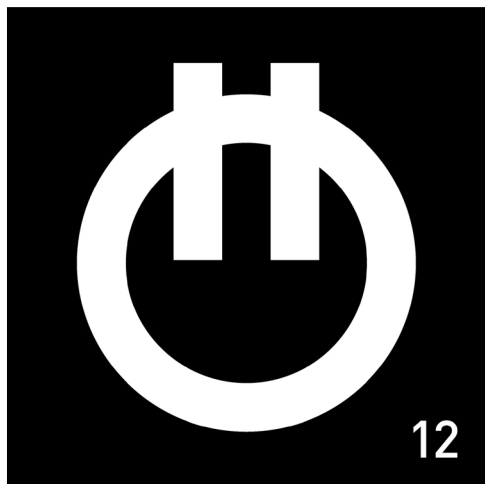
Kamil Downarowicz: Oprócz tradycyjnych występów z Oszibarackiem, próbujesz także swoich sił, jako DJ. Dobrze czujesz się w tej roli?

Agim Dželjilji : Od dłuższego czasu jestem producentem, więc do tej pory stałem „po drugiej stronie barykady”, ale kultura klubowa była i jest mi bliska. Zawsze obracałem się w tych kręgach i korciło mnie prezentowanie muzyki, którą lubię, szerszej publice. Zagrałem więc na kilku imprezach i w naturalny sposób zająłem się tą działką muzyki. Nie traktuję jednak DJ-owania w kategoriach zawodowych. Jest to dla mnie czysta przyjemność i dobra zabawa. Czy kiedyś zajmę się tym całkowicie na serio? Czas pokaże.

Tytuł Waszego nowego albumu 12 nawiązuje do formatu płyt winylowych. Jaki jest Twój ulubiony nośnik muzyczny? Jesteś „tradycjonalistą”, kupujesz nadal czarne bądź srebrne krążki?

Uwielbiam celebrować kontakt z muzyką. Dla mnie to zawsze było święto – zobaczenie okładki, wyjęcie jej z opakowania, dokładne jej przestudiowanie.

Dzięki temu, płyta staje się dla mnie dziełem bardziej kompletnym. Dzisiaj kończy się idea albumu wydawanego w taki tradycyjny sposób, nad czym ubolewam. Zwróć uwagę na jeden fakt, płyty winylowe – które najbardziej lubię – nie dawały większych możliwości czasowych dla muzyków. Mogłeś nagrać album, który trwał tyle a tyle. W ten sposób powstał pewien standard wypowiedzi artystycznej.



Oszibarack

12



Musiałeś zawrzeć całą swoją muzyczną osobowość w pięćdziesięciu kilku minutach. Z drugiej strony ciężko nie zauważyć, że wraca moda na płyty winylowe. W fast foodach muzycznych, takich jak np. Media Markt, można znaleźć ich całkiem sporo. Myślę, że doczekamy się powrotu małych butików muzycznych, do których będą wybierali się melomani. Oczywiście to będzie pewna nisza, ale zdobędzie sobie stałe miejsce w kulturze.

Wasza nowa płyta przynosi także nowe brzmienie. Z zespołu odeszła Patrisia, która nadawała ton Waszej muzyce, czy czujecie, że w jakiś sposób, zaczynacie na nowo?

Rzeczywiście ostatnie wydarzenia i odejście naszej wokalistki sprawiają takie wrażenie. Jednak ja postrzegam to raczej w kategoriach kontynuacji działalności Oszibarack. Po rozstaniu z Patrycją zespół miał praktycznie przestać istnieć. Dokonaliśmy głębokiej analizy naszej sytuacji, podsumowaliśmy dotychczasowe osiągnięcia i pody-

skutowaliśmy o tym, jak widzimy swoją przyszłość. Mieliśmy wątpliwości, czy pewna formuła grania zwyczajnie się nie wyczerpała. Udało nam się jednak, wraz z Tomkiem Dogielem, Janem Młynarskim i Jose Manuelem Alabanem Jua wydać nową płytę. Zdecydowaliśmy nagrywać bez wokalu, co zdeterminowało styl w jakim powstawała **12** oraz nadało specyficzną atmosferę temu krążkowi. Ale to wciąż ten sam zespół. Teraz tak sobie myślę, że jeśli kiedyś wydamy kolejną płytę, to będzie ona bardziej piosenkowa i pojawi się na niej czyjś głos w większości kompozycji.

Mam wrażenie, że 12 została nagrana w duchu techno/kraut-rock, co odróżnia ją znacznie od Waszych pozostałych krążków, które oscylowały wokół innej stylistyki. Czy od dawna tkwiła w Was potrzeba zmiany brzmienia Oszibarack?

Zdecydowanie tak. Patrycja nie przepadała za muzyką techno, chociaż sama była dj'ką i promowała muzykę progresywną/acid wraz z legendarnym



Oszibarack

– trochę dzisiaj zapomnianym – DJ-em Mniamos. Z kolei reszta zespołu entuzjastycznie podchodziła do tego gatunku. Zawsze łączył mnie i chłopaków pewien typ myślenia minimalistycznego, skrojonego na wywołanie pewnych reakcji u odbiorców – tak, aby popadali oni w trans, rozluźniali się. Jeśli chodzi o kraut-rock, to wraz z Tomkiem jesteśmy wielkimi fanami dźwięków, które powstawały w Berlinie w latach 70., kiedy Niemcy starali się stworzyć swój własny muzyczny język w opozycji do dominującego w tamtych czasach rocka z Wysp i Stanów. Działalność Manuela Goettschinga, wpływy takich zespołów jak Neu! czy Can są na **12** widoczne. Wcześniej nie mogliśmy zawrzeć wszystkich swoich fascynacji w naszej muzyce, ponieważ wokół Patrycji narzucał zespołowi formę piosenkową. Teraz nagraliśmy płytę bardziej empiryczną, atawistyczną w brzmieniu, surową, bez niepotrzebnych uduziwień producenckich. Nagranie **12** zajęło nam 5 dni, ale pomysły na kompozycje dojrzewały na przestrzeni ostatniego roku.

Jesteście zadowoleni z 12?

Powiem Ci szczerze, że jestem pozytywnie zaskoczony reakcją dziennikarzy na nasz nowy album. I nie jest to bynajmniej kokieteria z mojej strony. Wszystkie recenzje są na tak, i to jest po prostu fakt. Dostaję mnóstwo telefonów z gratulacjami, ludzie mówią nam wprost, że jest to nasz najlepszy album, co mnie ogromnie cieszy.

Zaczęliście znowu grywać koncerty. Jak czujecie się na scenie bez Patrycji?

Zawsze wierzyłem, że wspólne tworzenie muzyki jest nie tylko owocem intelektu, zwieńczeniem procesu my-

ślowego. Ważna jest także przyjaźń w zespole i panująca w nim atmosfera. Z Patrycją czuliśmy się bardzo dobrze i rozstanie było ciężkie dla każdej ze stron. Początkowo, gdy graliśmy „w zastępstwie” to czułem pewną pustkę na scenie. Brakowało ważnego elementu, którym była Patrycja – z tym, że chodzi bardziej o sferę mentalną, nie muzyczną. Dzisiaj się już z tym pogodziliśmy i na scenie jesteśmy z chłopakami jak zwarta drużyna. To chyba najlepszy moment w naszej karierze. Nie ujmując absolutnie nic Patrycji. Ona też wносиła dużo do zespołu, po prostu w pewnym momencie wizja kontynuacji projektu o nazwie Oszibarack wyglądała inaczej u nas, i inaczej u niej.

Album 12 był promowany przez sesje wideo, które można było zobaczyć w Internecie. Zainspirowaliście się Radiohead i ich słynnymi Live From The Basement?

Na pewno Radiohead był pierwszym zespołem, który ostro wypromował ten sposób prezentowania swojej muzyki, ale takie rzeczy działały się już wcześniej. Nie ukrywam, że jestem fanem Nigela Godricha, bo sam imam się produkcją i lubię podpatrywać mistrza przy pracy. Ale w tym przypadku sprawa wygląda inaczej. Po prostu rozstaliśmy się z dużą wytwórnią, pomyśleliśmy, że nie ma znowu takiej wielkiej potrzeby promowania **12** teledyskami, które łączą się z wysokimi kosztami. W **Live Video Session** chcieliśmy zaprezentować jak najwięcej nowych numerów i pokazać, że Oszibarack najlepiej prezentuje się w wersji na żywo. I dokładnie tak jest, bo jeśli chcesz w pełni poczuć naszą muzykę, to musisz przyjść na nasz koncert, zamiast słuchać **12** w domu.

Rozmawiał: Kamil Downarowicz

PREMIERY *filmowe*

#kino kobiece #kino arabskie

reż. Haifaa Al-Mansour

Dziewczynka w trampkach

Ten film jest ważny z kilku powodów. Jest to pierwszy obraz, który został wyreżyserowany przez kobietę w Arabii Saudyjskiej. Opowiada historię dziewczynki Wadjdi, która może i nie jest typową buntowniczką, ale nie chce poddać się opresyjnemu prawu. Nie zakrywa włosów oraz nosi trampki, które w dodatku ozdobiła rysunkami. Marzy o rowerze i ściganiu się z kolegami, lecz w Arabii Saudyjskiej kobiety nie mogą prowadzić pojazdów – ani samochodów, ani rowerów.

Film ten jest ważny również dlatego, że – podobnie jak *Persepolis* Marjane Satrapi – podnosi istotne społeczne i kulturowe kwestie. W filmie Al-Mansour kluczową postacią jest nie tylko dziewczynka w trampkach, lecz również jej matka, nauczycielka i dyrektorka szkoły. Saudyjska reżyserka, pokazując sytuację kobiet na wielu poziomach, na szczęście nie epatuje ponurym klimatem. Film jest pełen ironii i dystansu do rzeczywistości. Z pewnością udany debiut.



#kryminal #minimalizm #prowincja

reż. Jeff Nichols

Uciekinier

Nowy film Nicholisa, choć łączy w sobie kilka gatunków, to pozostaje obrazem minimalistycznym, skupionym na grze aktorów. W rolę tytułowego **Uciekiniera** wcielił się Matthew McConaughey. Partnerują mu Reese Witherspoon, Michael Shannon oraz mało znani młodzi aktorzy (Jacob Lofland i Tye Sheridan).

Fabula obraca się wokół Muda, który żyje w ukryciu na wyspie położonej na Missisipi. Miejsce jego pobytu przez przypadek znajduje dwóch chłopaków, którzy nie mają nic lepszego do roboty poza szwendaniem się po okolicy. Mud proponuje im pewną transakcję, która wciąga ich w kryminalną aferę.

Siłą filmu są nie tylko dobrze wykreowane postacie, ale także intrygująca historia oprowadzona w piękne zdjęcia dorzeczka Missisipi.

#komedia #na kacu

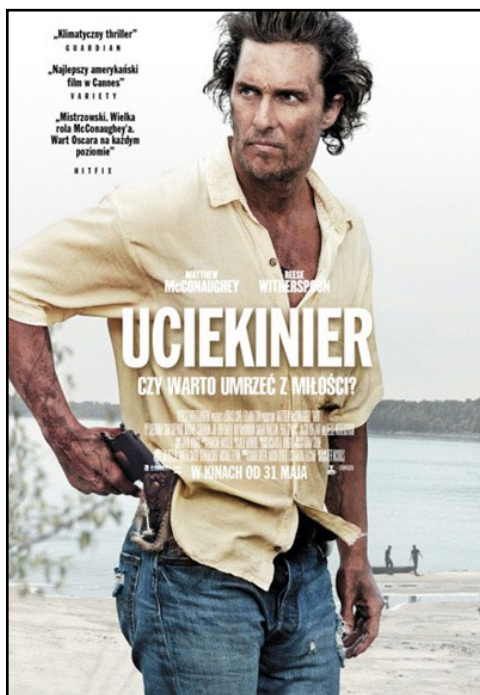
reż. Todd Phillips

Kac Vegas 3

**

Komediowość filmu zależy od wrażliwości odbiorcy. Jednym będą się podobały komedie Barei, innym Monty Pythona, a jeszcze innym Todda Phillipsa. Trzecia odsłona Kac Vegas być może spodoba się fanom poprzednich części, jednak komuś, kto je ledwie przetrwał, zdecydowanie należy odradzić kolejny seans.

Po pijackich ekscesach, które w zamierzeniu miały być komediowe, twórcy serii doszli do wniosku, że czas na



akcję. Zmienili wątek przewodni trylogii z hulaszczego na nieco bardziej sensacyjny, dorzucili Johna Goodmana i 21 milionów dolarów. Ale i tak nie zmienia to faktu, że Kac Vegas nigdy nie będzie dla niektórych kinomanów synonimem udanej komedii. Najnowsza część także tego nie zmienia.

#męski wieczer

reż. Nicolas Winding Refn

Tylko Bóg wybacza

Winding Refn wierzy w kino nasączone testosteronem. Wystarczy przytoczyć kilka jego wcześniejszych dzieł – trylogię **Pusher**, **Bronsona** czy **Valhalla Rising**, nie wspominając o hicie **Drive**. Tym, co odróżnia jego filmy od standardowych produkcji o mięśniakach, to typ bohatera. Są to opakowani w atrakcyjną formę wizualną milczący osobnicy, o których niewiele wiadomo. W stylizowanych kadrach, zwolnionym tempie, przy wtórce silnie oddziałującej muzyki bohaterowie Refna nie wahają się sięgać po przemoc. Jednak każdy z nich stosuje ją inaczej i w innym celu.

Właśnie przemoc jest tym, co wielu odrzuca od filmów duńskiego reżysera. Jest ona przedstawiona bardzo dosłownie, a jednocześnie jest mocno symboliczna. Dlatego, wybierając się na seans **Tylko Bóg wybacza**, należy zachować odpowiedni dystans do tego, co zobaczy się na ekranie. Jednak warto spróbować, bo obrazy Refna należą już do światowej czołówki.



Skala ocen:

God must have been a fuckin' genius

I just met a wonderful new man.
He's fictional but you can't have everything

My mum always said,
life is like a box of chocolates

I love you, honey bunny!

May the Force be with you

Too weird to live, and too rare to die

Coco Jumbo i do przodu

Huston, we've got a problem

**

Ja tu widzę niezły burdel

*

Albercik! Wychodzimy!

#ekonomia #zagadka #kino europejskie

reż. Costa-Gavras

Żądza bankiera

Bardzo aktualna historia opowiadająca o życiu rekinów finansowych i bankowej socjety. W momencie gdy ekonomia Europy się chwieje, a zwykli obywatele muszą zaciskać pasa – panowie dyrektorzy wielkich banków wypłacają sobie milionowe pensje.

Kiedy Mark Tourneuil zostaje szefem banku inwestycyjnego, jego życie nabiera tempa. Bardzo szybko odkrywa, że musi działać tak, aby ugrać wszystko albo nic. Postanawia wziąć udział w bardzo niebezpiecznej grze, która może mieć dla niego fatalne skutki.

Jednak nowy film Costa-Gavrasa, mimo szczerych chęci, nie jest obrazem wybitnym. Zabrakło mu jakiegoś składnika, który sprawiłby, że mamy do czynienia z arcydziełem. Jest to dobre kino zaangażowane ekonomicznie i społecznie, które po prostu warto poznać.

#akcja #science-fiction

reż. M. Night Shyamalan

1000 lat po Ziemi

Houston, mamy problem. Pan Shyamalan kręci coraz dziwniejsze filmy. Od czasu **Kobiety w błękitnej wodzie** nie potrafi wyjść poza pewien ustalony kanon, który sam sobie narzucił. Mimo że sięga po zróżnicowane tematy i teoretycznie każda z opowiadanych przez niego historii jest inna, to końcowy efekt jest raczej mało satysfakcjonujący.



Zwłaszcza, że Shyamalan zaczynał od niskobudżetowych, ale ambitnych historii z pogranicza SF/urban fantasy. Jednak im większym zapleczem finansowym dysponuje, tym gorsze filmy mu wychodzą. I w przypadku **1000 lat po Ziemi** nic się nie zmienia. Jest to obraz napompowany efektami specjalnymi, lecz brak mu treści, którą miały pierwsze filmy hinduskiego reżysera. A tym bardziej nie ratują go główne role zagrane przez Willa Smitha i jego syna Jadena.

#realizm magiczny #surrealizm

reż. Bodo Kox

Dziewczyna z szafy

Zdarzają się w polskim kinie filmy pokazujące rzeczywistość z pogranicza dwóch światów. Takie są na przykład obrazy Jana Jakuba Kolskiego, jednak nie należą one do kina głównego nurtu. Natomiast Hollywood już dawno zaakceptowało takich twórców jak Tim Burton czy Terry Gilliam. Wypełniają oni swoją niszę i mają oddanych fanów.

Ostatnio podobnym reżyserem próbuje być Bodo Kox i radzi sobie całkiem nieźle. Jego historia ***Dziewczyny z szafy*** zawiera klasyczne elementy realizmu magicznego połączone z dobrym aktorstwem i niezłymi efektami specjalnymi. Poza tym porusza temat niepełnosprawności (tak umysłowej, jak i w pewnym sensie społecznej) i pokazuje, że tak naprawdę wszyscy mamy trochę „nierówno pod sufitem”. Godny polecenia obraz z zastrzeżeniem, że nie dla wszystkich miłośników kina.



#akcja #zagadka

reż. **Danny Boyle**

Trans

Nowy, wyczekiwany przez wielu fanów film Danny'ego Boyle'a pokazuje, że powroty do przeszłości mają sens tylko wtedy, gdy połączy się je z dojrzałością. Ponieważ zapowiadany przez twórców **Trans** miał być swoistą kontynuacją **Trainspotting**, nie mogli tak po prostu nakręcić dalszych losów tych samych bohaterów. Jednak opowiadają podobną historię – dysfunkcyjnego ludzkiego umysłu uwikłanego w kryminalną zagadkę.

Główny bohater, grany przez Jamesa McAvoya, traci pamięć. Ma to miejsce podczas napadu na dom aukcyjny. Szkopuł w tym, że tylko on wie, gdzie jest ukryty bardzo drogi obraz. Dla szefa gangu najważniejszą sprawą jest wyciągnięcie z głowy bohatera tej informacji.

Wizualny majstersztyk, oprawiony w świetnie dobraną muzykę. Film Boyle'a to obowiązkowy punkt wakacyjnej wyprawy do kina.



#akcja #superbohater

reż. **Zack Snyder**

Człowiek ze stali

Kwintesencja kinematografii. Kto nie pamięta z dzieciństwa filmów o Supermanie? Chyba każdy kiedyś widział chociaż jeden. A gdy na wieść, że „odnowiciel” wizerunku Batmana, Christopher Nolan, będzie także producentem nowej wersji Supermana, rączki zadrżały z zachwyty. Sam reżyser



także zapowiedział ucztę dla fanów przygód bohatera z Kryptonu.

A jest co celebrować. Na ekranie w roli biologicznego ojca Supermana mamy Russela Crowe'a, jako przybranych rodziców – Kevina Costnera i Diane Lane, zaś postać Lois Lane, ukochaną bohatera, odgrywa Amy Adams. I nawet nieco mniej znany Henry Cavill cieszy oko ubrany w niebieski strój.

Poza tym Snyder wykrzesał ze swoich umiejętności reżyserskich dwieście procent normy bez zbytniego szarżowania efektami specjalnymi. **Człowiek ze stali** wciska w fotel w odpowiednich momentach i jest wciągający do samego końca.

#akcja #science-fiction

reż. J.J. Abrams

W ciemność. Star Trek

Marzenia o zdobywaniu przestrzeni kosmicznej nigdy się nie wyczerpią, dlatego współczesna fascynacja światem Star Treka wydaje się czymś zupełnie naturalnym. Naprzeciw tym fantazjom wychodzą nowe wersje dobrze znanych historii. Zręcznie zrealizowane w technice 3D i z głośnymi nazwiskami w napisach zarabiają bająćskie sumy w kinach całego świata.

Druga odsłona nowych przygód kapitanów Kirka i Spocka w reżyserii J.J. Abramsa to znów obraz wypełniony spektakularną akcją i ciętymi dialogami. Jest nawet ciekawie oglądać młodsze wersje postaci, które zna się z serialu telewizyjnego. Są one dynamiczniejsze i bardziej dramatyczne. Choć ważniejsza jest przede wszystkim idea wyprawy USS Enterprise – szerzenie humanizmu i tolerancji we wszechświecie...



#obyczajowe

reż. Sofia Coppola

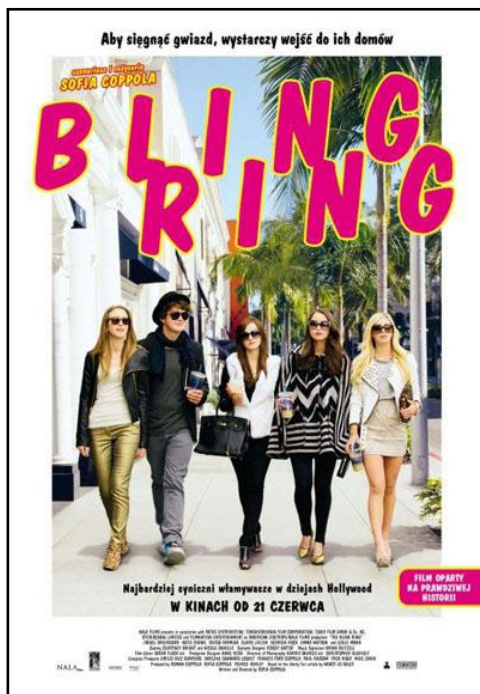
Bling Ring

Nowy film Coppoli tylko z pozoru przypomina obraz Harmony Korine'a ***Spring Brakers*** – dyskotekowa fasada i pustota wyzierająca z oczu bohaterów, które jarzą się tylko wtedy, gdy mogą zetknąć się z rzeczą należącą do celebryty. Jednak córka Coppoli nie moralizuje ani nie potępia takiego zachowania. Z lekką ironią puentuje, że to media i społeczeństwo stworzyły ich takimi, jakimi są.

Opowieść Coppoli oparta została na artykule zamieszczonym w Vanity Fair. Przedstawia historię grupy młodych ludzi działających pod nazwą Bling Ring i włamujących się do domów sławnych osób. Chcą być tacy sami jak oni, bo tylko sława w dzisiejszych czasach ma sens.

Jak zwykle Coppola dobrała doskonałą obsadę z Emmą Watson na czele, która tą rolę może zmienić swoją ścieżkę aktorską.

Przygotowała: Karolina Joisan



Puella Magi Madoka Magica

Polska premiera mangi o dziewczynkach, które otrzymują magiczną moc od pewnego puszystego stworka o niepokojących oczach i walczą ze złymi wiedźmami, będzie miała miejsce dokładnie 3 lipca 2013 r. Komu wydaje się, że to powtórka z rozrywki po **Czarodziejce z Księżycą**, ten się srogo zdziwi.

Puella Magi/Mahou Shoujo Madoka Magika najpierw ukazała się jako anime, dopiero później powstała jej komiksowa wersja. Serial anime składał się z 12 odcinków, natomiast manga to 3 tomy. Obydwie te pozycje wiele się między sobą nie różnią, dlatego spokojnie można skupić się na samej historii.

Gatunek **magical girls** jest bardzo schematyczny – młode dziewczyny

otrzymują w darze jakąś moc, aby walczyć ze złem tego świata. Dostają ją od istot magicznych lub rodzą się z nią, ale wtedy muszą ją stopniowo odkrywać. Oprócz zajmowania się walką z demonami lub innymi niegodziwymi stworami, zakochują się, zdają egzaminy i kłócą z rodzeństwem. Ostatecznie zło jednak zostaje pokonane, nastaje nowy, lepszy świat, a dziewczyny mogą złożyć broń i cieszyć się szczęściem i miłością.

Cały ten schemat ulega zmianie w historii Madoki i jej koleżanek. Choć twórcy tego anime garściami czerpią motywy ze znanych serii, stopniowo w toku wydarzeń modyfikują ich znaczenie. Zaczniemy od początku. Madoka Kaname ma sen, w którym widzi pojedynek dziewczyny z wiedźmą, zakończony porażką tej pierwszej. Nagle obok Madoki pojawia się biały stworek z długimi uszami, który mówi jej, że może uratować dziewczynę. Madoka budzi się i ten sen zatarłby się w jej pamięci, gdyby nie to, że w szkole po-



Puella Magi Madoka Magika

znaje Homurę Akemi, nową koleżankę, która okazuje się być dziewczyną ze snu.

Następnie, w trakcie spotkania z przyjaciółką Sayaką Miki, bohaterka ponownie styka się z puszystym stworem. Dowiaduje się, że jego imię to Kyubey, i że posiada on moc, którą może obdarować dziewczyny. Postać Kyubeya jest jedną z tych nietypowych dla gatunku magical girls. Początkowo wydaje się przyjazny, ale z czasem zauważamy, że jego intencje są nie do końca czyste. Już sam fakt, że przekazywanie mocy odbywa się na zasadzie kontraktu daje do myślenia...

Jedynym warunkiem przyjęcia magicznej mocy jest wypowiedzenie życzenia. Jednak potem nie można się wycofać (ten wątek też jest bardzo ciekawy, więc nie będę spoilerować). W zamian otrzymuje się Soul Gem, klejnot zawierający magię oraz duszę właścicielki. Jakie mogą być konsekwencje oddzielenia od klejnotu, można się domyślać.

Oprócz całej pogmatwanej historii o sile ***Puella Magi...*** stanowi animacja, która także zaprzecza dotychczasowym doświadczeniom z tym gatunkiem. Jest bardzo prosta (ale nie uproszczona), natomiast momenty walk z wiedźmami, gdy czarodziejki przechodzą do innego wymiaru, są wprost niespotykane. Psychodeliczne tła, graficznie zróżnicowane, okraszane niepokojącą muzyką dla niektórych będą zaskoczeniem, dla innych zupełnie nie do przyjęcia. Jednak znajdą się fani, którzy uznają je za kultowe. Oczywiście, manga zawiera nieruchome rysunki, ale te także robią wrażenie.

Na koniec warto zadać pytanie, czy jest sens czytać mangę, jeśli jest tak podobna do anime? Odpowiedź jest jedna – oczywiście, że tak. Komiks dostarcza inną przyjemność, daje wolność zawieszenia się na kadrze i nieco wolniejszego, ale też pełniejszego obcowania z opowieścią.

Karolina Joisan



PREMIERY

książkowe

#poradnik #hobby

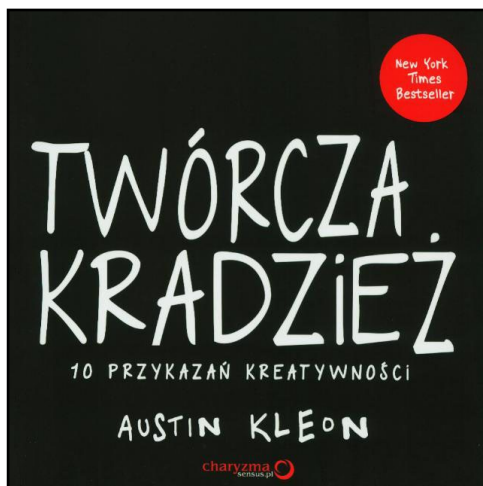
Austin Kleon

Twórcza kradzież.

10 przykazań kreatywności

W dobie dyskusji o granicach praw autorskich oraz poszukiwań odpowiedzi na pytanie: „Kto wymyślił to pierwszy?“, Austin Kleon prezentuje rewolucyjne przykazania – podglądaj, inspiruj się, kradnij! Okazuje się, że pojęcie „kradzieży” może być bardzo pojemne – autor tej małej książeczki prowokacyjnie nazywa złodziejami wszystkich twórców.

Austin Kleon, pisarz i artysta, wychodzi z prostego założenia – wszystko już zostało wymyślone. Dzisiaj geniusz wielkich twórców polega na odtwarzaniu cudzej pracy i uczeniu się na doświadczeniu innych. I choć wielu z nas nie zgodzi się na łączenie kreatywności z kradzieżą, same rady autora są godne uwagi. Kleon pisze o niebezpieczeństwie odkładania pracy na później, o tym, jak ważne jest dzielenie się swoją pasją z innymi, oraz zdradza kilka sposobów na przywołanie twórczego natchnienia. Na uwagę zasługuje też inspirująca oprawa graficzna książki oraz poręczny format. Do tej pozycji chce się wracać, cytować i dzielić się nią z innymi.



#reportaż #wschód

Maciej Jastrzębski

Matrioszka Rosja i Jastrząb

Przeciętny homo sovieticus nie miał łatwo. Po rozpadzie ZSRR Rosja jak gąbka chłoneła wszystko, co uważała za „zachodnie”. W efekcie powstała wybuchowa mieszanka tego, co nowe i stare, wielowarstwowe dzieło historii. Dla Macieja Jastrzębskiego, przez przyjaciół zwanego Jastrzębiem, poznawanie Rosji jest odkrywaniem jej kolejnych warstw, schodzeniem w głąb w poszukiwaniu „rosyjskiej duszy”. Stąd porównanie Rosji do matrioszki – każda kolejna różni się od poprzedniej, aż w końcu znajdujemy tę ostatnią, skrzętnie ukrytą przed niepowołanym wzrokiem.

Autor od wielu lat jest korespondentem Polskiego Radia w Rosji. Był świadkiem ważnych politycznie wydarzeń, jednak w swojej książce nie ogranicza się jedynie do przybliżenia historii tego kraju. Ona jest ważna, lecz aby poznać ludzi, trzeba sięgnąć dalej. Oglądając filmy, czytając książki, słuchając rosyjskiej muzyki, podsłuchując rozmowy w metrze, Jastrzębski poznawał gusta i marzenia Rosjan. Przyznaje, że gdy przyjeżdżał do Rosji na krótko, widział tylko to, co chciał zobaczyć, i szukał potwierdzenia dla stereotypów. Dopiero po kilku latach zaczął dostrzegać, że „oprócz czerni i bieli są również inne kolory”.

Taka też jest ***Matrioszka Rosja i Jastrząb*** – wielowymiarowa i zaskakująca. Próżno tu szukać sensacji, a stereotypy przytaczane są głównie po to, żeby się z nimi zmierzyć.



Skala ocen:

Sto lat samotności

Miasto grzechu

Cień wiatru

Gra w klasy

Czas jest najprostrszą rzeczą

Moja walka...

Kronika sportowa

Paulo Coelho

**

Żegnaj laleczko

*

Czas pogardy

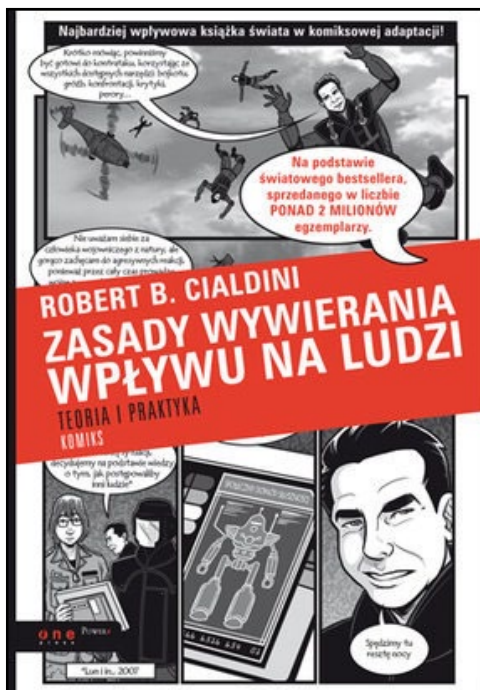
#komiks #NLP

**Robert B. Cialdini, Nathan Lueth,
Nadja Baer**

*Zasady wywierania wpływu
na ludzi. Teoria i praktyka*

Po sukcesie komiksu o Stevie Jobsie, w którym autorzy przy pomocy rysunków i dymków próbowali przedstawić filozofię, jaką kierował się twórca Apple'a, wydawnictwo One Press sięgnęło po inne sławne nazwisko. Robert B. Cialdini jest znany nie tylko studentom psychologii – jego wieloletnie badania przyniosły mu międzynarodową sławę eksperta z zakresu technik perswazji i narzędzi negocjacji. Jest też autorem książki traktującej o zasadach wywierania wpływu na ludzi, której adaptacją jest komiks Nathana Luetha i Nadji Baer.

Mówią, że jeden obraz wart jest więcej niż tysiąc słów. Jednak czy sprawdza się to w przypadku książki naukowej? Choć pomysł przedstawienia teorii naukowych w formie komiksu wydaje się być bardzo intrygujący, w przypadku **Zasad wywierania wpływu na ludzi** coś poszło nie tak. Nie jestem pewna, czy to kwestia scenariusza, czy rysunku, ale komiks ten czyta się dość opornie. Długie wywody wyjęte wprost z kultowej książki naukowca i nienaturalne dialogi przeładowane naukowym żargonem raczej nie przypadną do gustu tym, którzy szukają lekkiej lektury. Natomiast ambitniejszy czytelnik na pewno więcej skorzysta, sięgając po oryginał Cialdiniego.



#fantastyka #powieść #humor

Andrzej Pilipiuk

Wampir z MO

Tajni agenci, służby specjalne, szara polska lat osiemdziesiątych. A może wcale nie taka szara? Najbardziej płodny polski pisarz fantastyki serwuje kolejną część przygód nadprzyrodzonych istot w PRL-owskiej rzeczywistości.

Wampiry, zombie, wilkołaki – w swojej nowej powieści Andrzej Pilipiuk ponownie raczy czytelnika dużą dawką absurdu i dowcipu. Bezpardonowo żartuje ze **Zmierzchu**, „amerykańskiej” stonki ziemniaczanej i milicyjnych prowokatorów, sprawnie żongluje odniesieniami do popkultury. Choć przez niektórych posądzany o grafomaństwo, Pilipiuk jest mistrzem lekkiej rozrywki, dlatego do **Wampira z MO** warto podejść z dużym dystansem i po prostu dobrze się bawić.

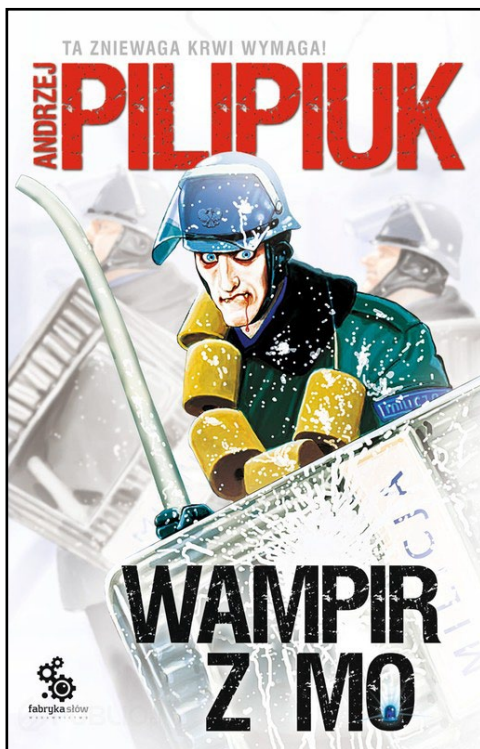
#historia #biografia #kobiety

Diane Ducret

Kobiety dyktatorów, cz. 2

Sekret sukcesu Diane Ducret tkwi w tym, że... jest kobietą. Z kobietą wrażliwością podeszła do trudnego tematu, jakim są życiorysy dyktatorów XX wieku. Książka jest wynikiem solidnej pracy autorki, rzuca światło na nieznane fakty i widzi Fidela Castro, Saddama Husajna, Chomejnego, Słobodana Miloševića, Kim Dzong Ila i Osamę bin Ladena oczami ich żon i kochanek.

Nowa książka Diane Ducret jest kontynuacją jej poprzedniego bestsellera, traktującego o kobietach Stali-



na, Lenina czy Mussoliniego. Pracując nad drugą częścią **Kobiet dyktatorów**, autorka próbowała dotrzeć do kobiet, o których pisała, porozmawiać z nimi, spróbować zrozumieć ich punkt widzenia. Nie zawsze to się udaje, choć czasami rzeczywiście można dostrzec ludzki pierwiastek nawet w dyktatorach uważanych za zbrodniarzy.

#biografia #wywiad #celebryci

Hanna Halek,
Zofia Fabjanowska-Micyk

*Cudowne lata. Opowieści
o miejscach, w których dorastaliśmy*

Niesamowita książka biograficzna o młodości znanych artystów, dziennikarzy i sportowców. Choć okładkę firmują znane nazwiska, podczas lektury schodzą one na dalszy plan. **Cudowne lata** to kilkanaście niezwykle ciepłych historii, wspomnień o dzieciństwie i młodości. O raju, utraconym wraz z przekroczeniem pewnego wieku. Po wrót do miejsc żyjących już tylko we wspomnieniach.

Autorkom udało się wyłapać ze wspomnień swoich rozmówców to, co najważniejsze – dokąd chodziło się na wagary, jak przeżywało pierwsze miłości, jakie tajemnice ukrywało się przed dorosłymi. Fascynujące jest też, że każda historia jest inna, a jednocześnie zaskakująco bliska...

Dzisiaj w mainstreamowych mediach trudno o takie opowieści. Być może dlatego **Cudowne lata** są książką tak bardzo niezwykłą.

Opracowała: Ana Matusevic



Hipnotyzujący *zew tuneli*

Wyobraź sobie świat, w którym apokalipsa jest początkiem. Człowiek staje się zwierzyną łowną. Szczurem, którego napędza jedynie instynkt przetrwania. Każdy pokonany w ciemnościach metr to krok w nieznanne. Każda wyprawa w ciemność może kosztować życie.

Metro moskiewskie to 12 linii o łącznej długości ponad 300 kilometrów. Codziennie przez jego 180 stacji prze-wija się około 2,5 miliona pasażerów. Tyle oficjalnych statystyk. Nieoficjalnie wiadomo jednak, że od głównych dróg podziemnej kolei miejskiej odchodzą kilometry mniej znanych odnóg. Pierwsze linie powstały w latach 30. dwudziestego wieku – w czasie apogeum stalinowskiego reżimu. Przez kolejne dekady metro obrosło w legendy: o tajnych pomieszczeniach i przejściach, o specjalnych liniach Metro-2 (tajny system metra w Moskwie przeznaczony do ewakuacji notabli politycznych), o ukrytej broni, o potworach, zamieszkujących najgłębsze i trudno dostępne odcinki.

Podczas drugiej wojny światowej metro w Moskwie służyło jako schron przeciwlotniczy. Wielu twierdzi, że sprawdziłoby się również jako schron przeciwatomowy. Jeżeli do



Dmitry Glukhovsky



tego wszystkiego dopuścimy możliwość istnienia połączeń ze schronami pod najważniejszymi budynkami rosyjskiej stolicy, naszym oczom ukaże się ogromne podziemne miasto.

Dmitrij Głuchowski chyba nawet nie podejrzewał, że jego debiut literacki stanie się początkiem wielotomowej sagi kontynuowanej przez licznych autorów fantastyki. Że stworzy podwaliny uniwersum równie przerażającego, co fascynującego. Nuklearna zagłada, mutanci, walka o przetrwanie – nie jest to rzecz nowa. Jednak **Metro 2033** Głuchowskiego jest powieścią wciągającą i niezwykle przekonującą.

Metro 2033 można czytać z mapą w rękę, ponieważ autor wykorzystuje autentyczną topografię miasta. Powołuje się też na moskiewskie legendy miejskie, które zna prawie każdy mieszkaniec rosyjskiej stolicy. Konstrukcja powieści pozwala pominąć wątki egzystencjalne i skupić

się jedynie na przygodach głównego bohatera. Jednak bez pytań, które ten sobie stawia, postapokaliptyczny świat Głuchowskiego byłby niepełny. Czy instynkt przetrwania jest jedynym motorem działań człowieka? Czy wiara w Boga lub w ideę jest rzeczywiście niezbędna dla ludzkości? Czy ludzkość wciąż jest istotą nadrzędną na Ziemi?

Świat **Metra 2033** widzimy oczami młodego chłopaka, który przemierza-
jąc kilometry ciemnych tuneli i poznając mieszkańców podziemnego świata, podróżuje też w głąb siebie. Dojrzewa z każdym przemierzonym kilometrem, zaczyna podważać status quo. Uświadamia sobie, że jest wybrańcem, marzy o gwiazdzistym niebie nad głową.

W ogromnej sieci metra można doszukiwać się metafory ludzkiej duszy i umysłu – równie mrocznego i nieprzewidywalnego. Nie każdy ma wystarczająco dużo odwagi, żeby spojrzeć przeznaczeniu w oczy. Nie jest łatwo pokonać ten strach, jednak jeszcze trudniej pogodzić się z tym, że prawdę o sobie poznaje się zbyt późno.

Ana Matusevic



Dmitry Glukhovsky

Metro 2033



Doktor Odłot

Hunter S. Thompson

Był zbyt dziwny, by żyć, i zbyt wyjątkowy, by umrzeć. Ostatecznie odszedł tak, jak żył – szybko i bezkompromisowo, strzelając sobie w głowę przed maszyną do pisania, niczym jeden z jego idoli – **Ernest Hemingway**. W ostatnim felietonie dla Rolling Stone napisał: „Sezon futbolowy dobiegł końca. Żadnych gier. Żadnych bomb. Żadnego chodzenia. Żadnej zabawy. Żadnego pływania. 67 lat. To 17 lat po pięćdziesiątce. 17 lat więcej niż chciałem i potrzebowałem. Nuda. Zawsze zrzedzę. Zero zabawy – dla nikogo. Robisz się pazerny. Postępuj zgodnie ze swoim (starczym) wiekiem. Spokojnie. To nie będzie bolało”. 18 lipca obchodziłby 76 urodziny.

W Polsce postać Huntera Stocktona Thompsona nie jest dobrze znana. Z całości jego obszernego dorobku wydano u nas tylko dwie powieści: **Dziennik rumowy** oraz **Lęk i odrazę w Las Vegas** (w doskonałym, oddającym klimat oryginału przekładzie Macieja Potulnego i Marcina Wróbla). Tymczasem w rodzinnych Stanach Zjednoczonych był człowiekiem-instytucją, postacią kultową, a dla wielu także wzorem do naśladowania. Pisarz, dziennikarz (samozwańczy doktor dziennikarstwa), felietonista, współtwórca nowych prądów w dziennikarstwie, niedoszły seryf i zapalony psychonauta na granicy prawa, a często daleko poza nią. Ktoś, kto postępował zgodnie z własnymi regułami stojącymi w opozycji do przyjętych norm. Robił to w sposób bra-

wurowy, wręcz szaleńczy, nierzadko balansując na krawędzi śmierci.

Trwoniał służbowe pieniądze, rozbił się luksusowymi autami, demolował pokoje hotelowe, pił na umór i brał każdy narkotyk, jaki wpadł mu w ręce. Zwykle robił to – przynajmniej



Hunter S. Thompson

w początkach kariery – na koszt redakcji, z którą akurat współpracował. Często wchodził w konflikt z prawem, co wielokrotnie kończyło się aresztem. Współpraca z nim była rzeczą niełatwą i wymagającą dużej cierpliwości. Był zaprzeczeniem rzetelnego, pokornego felietonisty, który zawsze wyrabia się na czas z pełnym, gotowym materiałem. Gardził swoją profesją: „Dziennikarstwo to nie zawód ani branża. To tylko mizerna szansa na zaistnienie dla popaprańców i odmieńców – fałszywe drzwi na zaplecze prawdziwego życia, obrzydliwa, zaszczana nora zabita dechami przez inspektorów budowlanych, ale dość głęboka, by każdy pijaczek mógł się stoczyć do niej z chodnika, żeby tam walić gruchę jak małpa w zoo”. Tak zwaną dziennikarską obiektywność nazywał „napu-

szonym oksymoronem” i dodawał, że jedyną rzeczą bliską reporterskiemu obiektywizmowi, jaką w życiu widział, była kamera przemysłowa na stacji benzynowej. Kiedy w połowie lat 70. zlecono mu napisanie **relacji z walki bokserskiej** » między Muhammadem Alim i George’em Foremanem w Zairze, spędził cały dzień w hotelowym basenie, popijając rum i paląc jointy. Zamówiony artykuł nigdy nie powstał.

Ale kiedy już coś napisał – a pisał dużo, wręcz obsesyjnie i na rozmaite tematy – było to co najmniej ciekawe i literacko imponujące, a najczęściej także świeże, celne oraz cięte. Pióro miał równie ostre, co język niewypa-rzony. Nie szczędził złośliwości nikomu, kto według niego na nie zasłużył. Był pełen sprzeczności – deklarował się jako człowiek skrajnej lewicy i jed-



Hunter S. Thompson



nocześnie uwielbiał broń palną oraz materiały wybuchowe do tego stopnia, że został członkiem znienawidzonej przez liberałów organizacji National Rifle Association. Kpił z psychodelicznych doświadczeń Timothy'ego Leary'ego, nazywając je „wylęgarnią duchowych kalek”. Nie identyfikował się w pełni z żadną opcją ideologiczną poza zbiorem własnych przekonań, te zaś wymykały się prostym podziałom. Z jednym wyjątkiem – brzydził się kompromisem i nienawidził jakichkolwiek ograniczeń. Konserwatyści bali się go i nienawidzili, wolnomyśliciele wynosili na piedestały. Wzbudzał skrajne reakcje, rzadko – obojętność.

Urodził się w 1937 roku w Louisville w stanie Kentucky jako pierwszy z trzech braci. Był trudnym dzieckiem, choć uczył się dobrze i wykazywał talent do sportu. Wcześniej osierocony przez ojca zmagał się z biedą. Jako 18-latek został uznany współwinnym napadu (choć podobno tylko siedział w aucie z prawdziwym sprawcą) i skazany na 60 dni aresztu. Wyszedł po miesiącu za dobre sprawowanie, a kilka dni później w akcie zemsty na społeczeństwie zatopił każdą łódź w pobliskim porcie, strzelając w ich kadłuby poniżej linii wody. Nazajutrz zaciągnął się do wojska. Chciał być lotnikiem, ale nie przeszedł testów, został więc technicznym. Otrzymał też posadę reportera sportowego w piśmie dla wojskowych, ponieważ zmyślił na potrzeby rozmowy kwalifikacyjnej fikcyjne historie o poprzednim zatrudnieniu. W tym samym czasie dostał kolumnę w lokalnej gazecie, ale musiał podpisywać się pseudonimem Thorne Stockton, bo armia nie zezwalała rekrutom na pracę poza bazą.

W 1958 roku, po trzech latach służby, został honorowo oddelegowany do cywila. W oficjalnej notce stwierdzono coś, o czym wkrótce przekona się wielu przyszłych pracodawców Thompsona: „Ten żołnierz, choć utalentowany, nie będzie kierował się naszą polityką. Czasami przez swoje buntownicze, pyszałkowane nastawienie ściera się z innymi członkami bazy”. Po wojsku, zainspirowany bitnikami, żył niemal jak nomada. Kontynuował karierę żurnalisty – najpierw w Pensylwanii, a potem w Nowym Jorku. Trudny charakter Thompsona ciągle jeszcze był problemem, a nie – jak później – znakiem rozpoznawczym. Został zwolniony z Time'a za niesubordynację, zaś z innej redakcji wyleciał z powodu aktu wandalizmu (zniszczenie automatu ze słodyczami) i kłótni z reklamodawcą.

W wolnych chwilach przepisywał na maszynie swoje ulubione książki – **Pożegnanie z bronią** Hemingwaya i **Wielkiego Gatsby'ego** Fitzgeralda – po to, jak sam mówił, aby złapać ten rytm i nauczyć się czegoś o pisaniu i stylu (anegdota głosi, że kiedy zwiedzał dom Hemingwaya w Ketchum, ukradł na pamiątkę poroże jelenia). W 1960 roku wyruszył do portorykańskiego San Juan, gdzie miał zostać dziennikarzem w magazynie sportowym. Wkrótce po jego przybyciu tytuł przestał się ukazywać, ale Thompson został na Karaibach jako zagraniczny korespondent New York Herald Tribune i felietonista kilku lokalnych gazet (parę lat później będzie pracował w ten sposób także w Brazylii). Pisał o narkotykowych dilerach, prostytutkach i przemytnikach. Wypłaty były nieregularne i skromne, przyszły pisarz żył więc na granicy ubóstwa.



Hunter S. Thompson

Po powrocie do USA na początku lat 60., Thompson autostopem dotarł do Kalifornii, gdzie zarabiał na życie jako ochroniarz i pracownik nietypowego ośrodka, który wkrótce miał zyskać rozgłos pod nazwą **Esalen Institute**». Kontakt ze środowiskiem artystycznym skupiającym się wokół owego instytutu zainspirował Thompsona do napisania ostrego artykułu, który został opublikowany w ogólnokrajowym magazynie *Rogue*. Nie o taki rozgłos chodziło zapewne dyrekcji ośrodka, która, rzecz jasna, natychmiast zwolniła Thompsona. Teraz miał czas, żeby dokończyć dwie powieści, które zaczął już pisać – **Prince Jellyfish** (*Książe Meduza*, odrzucona wówczas przez kilka wydawnictw i ostatecznie nigdy nieopublikowana) oraz **Dziennik rumowy**. Ten drugi tytuł, oparty na przeżyciach w Portoryko,

został wydany dopiero w 1998 roku za namową Johnny'ego Deppa, który znalazł manuskrypt powieści w piwnicy domu Thompsona (trzydzieści lat później aktor wyprodukuje też filmową adaptację **Dziennika** i wcieli się w postać głównego bohatera).

U progu epoki dzieci-kwiatów Thompson przeprowadził się do Kalifornii – najpierw zamieszkał w Glen Ellen, a następnie w San Francisco. Pracował przy rozładunku statków. Kontrkulturowa atmosfera wolności, łatwego seksu i szeroko dostępnych narkotyków zrobiła na nim duże wrażenie. Czynn timer włączył się w ruch hipisowski i zaczął pisywać dla podziemnego pisma *The Spyder*. Przełom nastąpił w 1965 roku, kiedy otrzymał propozycję napisania artykułu dla *The Nation* na temat słynnego gangu motocykli-

stów Hells Angels. **Powstały tekst** » był tak dobry, że po jego publikacji posypały się oferty wydawnicze dotyczące pełnowymiarowej książki na ten sam temat. W ramach kontraktu z wydawnictwem Random House pisarz przez rok żył i przemierzał kraj na motorze u boku Aniołów Piekieł. Z czasem specyficzna osobowość niecodziennego towarzysza okazało się dla członków gangu nie do zniesienia. Oskarżono go o najemnictwo i zażądano udziałów w przyszłych dochodach ze sprzedaży książki. Thompson oczywiście odmówił. W rezultacie motocykliści wyrzucili go ze swojego składu i, ku przestrodze, dotkliwie pobili. Bójka stanowiła apogeum napiętej atmosfery i wywiązała się bezpośrednio po słowach Huntera skierowanych do jednego z mniej znanych mu Aniołów, o którym mówiło się, że stosował przemoc domową: „Tylko śmieć bije swoją żonę”.

Powstała z tego fascynująca książka, która ukazała się w 1966 roku pod tytułem ***Hell's Angels: The Strange and Terrible Saga of the Outlaw Motorcycle Gangs*** (**Aniołowie Piekieł: Dziwna i straszna opowieść o gangach motocyklowych wyjętych spod prawa**). Recenzje były znakomite. Pisano o oryginalnym ujęciu tematu, chwalono przenikliwe obserwacje autora, zaproszono go nawet do telewizyjnego talk show, gdzie dyskutował z członkiem gangu. Sukces książki uczynił z Thompsona człowieka zamożnego i otworzył przed nim drzwi do redakcji najbardziej znanych tytułów: The New York Times, Enquire, Times i Rolling Stone. W jednym z esejów dla tego ostatniego z wymienionych pism Thompson wnikliwie opisał kulturę hipisów, jej słabnące zaangażowanie w politykę

i rosnącą konsumpcję narkotyków (sam zresztą nie wyrzucał prochów za kołnierz, a jego **tryb życia** » unieśliby chyba tylko Bowie i Burroughs razem wzięci). Blisko związany z kontrkulturą obawiał się, że taka droga zaprowadzi ją w ślepą uliczkę. Jednocześnie obserwował upadek „amerykańskiego snu”, który zaczął się rozpadać wraz z zabójstwem Kennedy’ego, nixonowską polityką i przeciągającą się wojną w Wietnamie. To właśnie te motywy staną się główną osią jego drugiej książki. Tej, która zrobi z niego legendę.

Zaczął się od standardowego zlecenia. W 1971 roku magazyn Sports Illustrated zamówił u Thompsona relację na 250 słów z rajdu motocyklowego Mint 400, który odbywał się na pustyni w okolicy Las Vegas. Po zainkasowaniu zaliczki Thompson kupił całą walizkę używek – meskalinę, LSD, kokainę, marihuanę, eter, alkohol – wsiadł **w czerwonego Chevroleta Impalę** » (którego pieśzcotliwie nazywał Krwawym Rekinem) i wyruszył do Nevady w towarzystwie przyjaciela Oscara Z. Acosty, prawnika i aktywisty. Zamiast jednak relacjonować wyścig, panowie błakali się na permanentnym odlocie po Las Vegas w poszukiwaniu „amerykańskiego snu” (doprowadzając przy okazji do wywołania kilku burd i skandalu). Zamiast niego odnaleźli koszmar, strach i obrzydzenie, potęgowany przez mieszkankę używek i surrealistyczną atmosferę stolicy hazardu. Za ledwie miesiąc później obydwaj wrócili do Las Vegas na konferencję poświęconą narkotykom. To, co miało być krótkim sprawozdaniem sportowym, urosło do pełnometrażowego dzieła na granicy faktu i fikcji. Z oczywistych

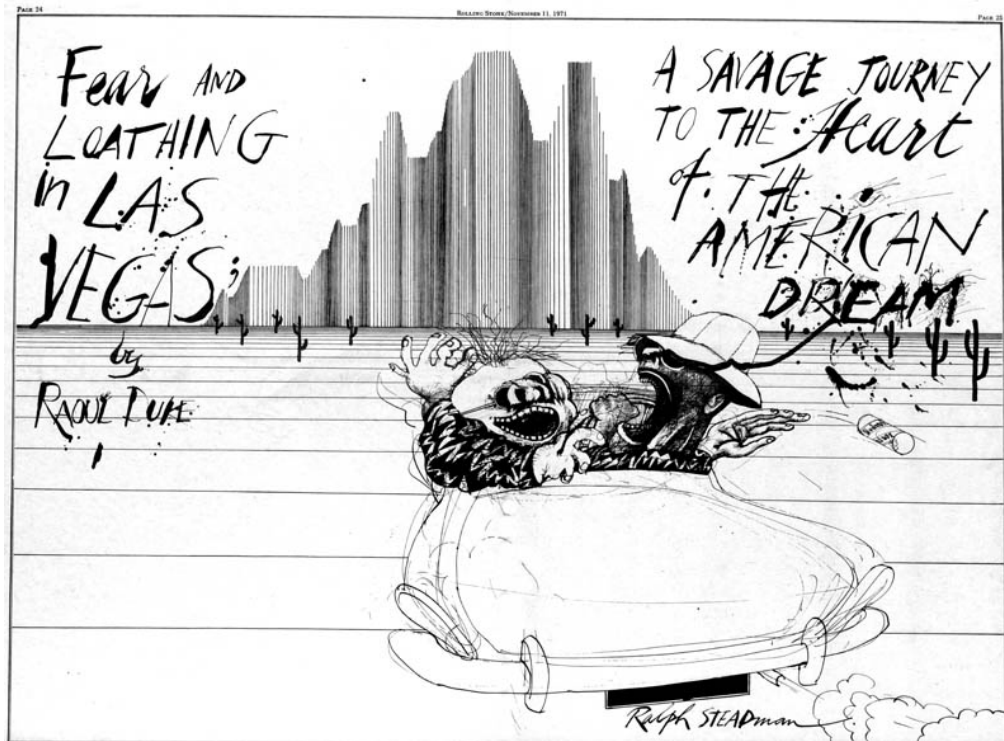
powodów tekst został zdecydowanie odrzucony przez Sports Illustrated, ale przechwyciła go zachwycona redakcja Rolling Stone i opublikowała w dwóch odcinkach. Wreszcie, w 1972 roku, artykuły ukazały się w formie książkowej pod tytułem ***Lęk i odraza w Las Vegas – Szaleńcza podróż do serca „amerykańskiego snu”***.

Za motto posłużyły słowa Samuela Johnsona: „Ten, kto czyni z siebie bestię, pozbywa się cierpień człowieczeństwa”. I rzeczywiście, w reakcji na spotworniałą rzeczywistość Ameryki AD 1971, która obudziła się na wielkim kacu po latach 60., bohaterowie ***Lęku i odrazy*** uciekają w narkotyki, szaleństwo i (auto)destrukcyjne ekscesy. Te z kolei służą im do walki z plastikową kulturą i niszczenia symboli zachodniego konsumpcjonizmu, które jak w soczewce skupiają się w Las Vegas – groteskowym mieście ucieleśniającym mit „od pucybuta do milionera”. Mit fałszywy, bo wielkie wygrane w kasynach zdarzają się równie rzadko, co deszcz w Dolinie Śmierci, zaś piewcy podobnych legend okazują się wilkami w owczych skórach (vide wielokrotnie wyśmiewany w książce ***Horatio Alger*** »). Z jednej więc strony gasnąca kontrkultura pełna niedopałków ludzi, z drugiej amerykańska kultura głównego nurtu, kiczowata, nierealna i oparta na oszukańczej obietnicy szybkiego bogactwa. Raoul Duke i Dr Gonzo – bohaterowie książki i zarazem alter ego Thompsona i Acosty – odnajdują „amerykański sen” całkiem dosłownie i zarazem symbolicznie. Jest to stary, na wpół spalony budynek, który niegdyś mieścił nocny klub o takiej właśnie nazwie. Ruina porośnięta zielskiem,

przejęta przez bezdomnych, handlarzy, narkomanów i inne ofiary epoki wolnej miłości i kwasów dla każdego.

Thompson perfekcyjnie przekuł swoje lęki i obawy na pierwszorzędną literaturę. Brytyjski pisarz Hari Kunzru nie bez racji pisał, że: „Prawdziwy głos Thompsona okazuje się należeć do amerykańskiego moralisty, który często staje się obrzydliwy, żeby uwypuklić brzydotę, którą widzi dookoła”. Zawarta w ***Lęku i odradzie*** zjadliwa, śmieszna i straszna satyra na pojmovany po amerykańsku sukces, połączona z gorzkim podsumowaniem zmierzchu lata miłości oraz sugestywne opisy halucynacji i paranoi złożyły się na przewrotną, brawurową i oszałamiającą całość. Ilustrowana niesamowitymi, pełnymi ekspresji rysunkami Ralpha Steadmana powieść stała się kamieniem milowym kontrkultury i zarazem gwoździem do jej trumny. Zaprzyżniony pisarz Tom Wolfe rozpyływał się w zachwytach i mówił o epokowej sensacji. Ale nowatorstwo Thompsona nie polegało jedynie na trafnym ukazaniu realiów Ameryki przełomu dekad. Poprzez unikalny, skrajnie subiektywny styl, w jakim została napisana, książka stała się pierwszym świadomym manifestem zupełnie nowego rodzaju literatury. Kiedy trafiła na listę bestsellerów The New York Times, nikt nie wiedział, czy przypisać ją do prozy, czy reportażu. To było coś innego. Dziennikarstwo w stylu gonzo.

Pierwszym, który określił pisarstwo Thompsona tym mianem, był jego kolega po fachu Bill Cardoso, komentując artykuł ***The Kentucky Derby Is Decadent and Depraved (Derby w Kentucky jest dekadentkie i zepsute)*** z 1970 roku. Napisany pod presją



Ilustracja Ralpha Steadmana

czasu tekst prezentował wybitnie subiektywny, przejawskrawiony punkt widzenia. Główne założenie gonzo bazowało na zatartu granicy między fikcją a rzeczywistością i rezygnacji z bezstronnego przedstawiania faktów na rzecz osobistych spostrzeżeń. „Fikcja opiera się na rzeczywistości, no chyba, że piszesz bajki” – mówił Thompson i zamiast poprzestawać na obserwacji opisywanych wydarzeń, brał w nich czynny udział, deformował rzeczywistość i wpływał na jej przebieg. Najlepszym sposobem na zniekształcenie perspektywy były oczywiście narkotyki. Nic więc dziwnego, że są one wszechobecne w **Lęku i odradzie**, gdzie służą niemal jako środki styli-

styczne. Thompson zresztą regularnie pisał pod wpływem (tylko po trawie miał z tym problem). „Jack Kerouac nauczył mnie, że możesz pisać o narkotykach i zostanie to opublikowane” – powiedział **w jednym z wywiadów**». Równie ważna była muzyka – podczas prac nad **Lękiem i odradą** słuchał głównie Rolling Stonesów. Uwielbiał także Boba Dylana i Lou Reeda.

Thompson niemal zawsze pisał w pierwszej osobie i wielokrotnie umieszczał siebie samego w swoich historiach jako szalonego, wiecznie uwalonego dziennikarza. Koloryzował i uwypuklał wydarzenia lub je zmyślał – częściowo lub w całości. Te, które naprawdę miały miejsce,

wyolbrzymiał do poziomu groteski. Często prowadziło to do komicznych sytuacji. Twórczość Thompsona, choć porusza całkiem poważne treści, skrzy się nieodpartym czarnym humorem. Towarzyszył mu on również w życiu prywatnym. Kiedy niechcący postrzelił swoją asystentkę, tłumaczył się, że pomylił ją z... niedźwiedziem. Wolfe określił jego dokonania mianem pełnej inwencji mieszkanki dziennikarstwa i osobistego pamiętnika. Tak jak zacierała się granica między tym, co prawdziwe, a tym, co zmyślone, tak zatarciu ulegała linia dzieląca Huntera od jego literackiego alter ego. Duke zaczął żyć własnym życiem: „Nigdy nie jestem pewien, której postaci ludzie ode mnie oczekują. Te dwie osoby często pozostają w konflikcie – właściwie zawsze. [...] Prowadzę normalne życie, a obok mnie żyje ten mit, który rośnie, rozrasta się jak grzyb i staje się coraz bardziej wypaczony. Kiedy dostaję zaproszenie na uniwersytet, żeby dać wykład, nie jestem pewien, czy zapraszają Duke’a, czy Thompsona. Nie wiem, kim mam wtedy być”.

Wizerunek był rzeczywiście wyrazisty – mrukliwy, mamroczący głos,

chybotliwy sposób poruszania się, okulary przeciwsłoneczne, osadzony w plastikowej fifce Dunhill, trampki Converse, krzykliwe hawajskie koszule i ekscentryczne nakrycia łysiejącej czaszki w postaci daszków, czapek i kapelusików (do dziś jest to popularne przebranie na Halloween). Charakterystyczny styl i ostre usposobienie Thompsona zainspirowały rysownika Garry’ego Trudeau do stworzenia postaci Wujka Duke’a na potrzeby paska komiksowego **«Doonesbury»**. Pisarzowi nie spodobał się ten pomysł. W jednym z wywiadów powiedział, że jeśli spotkałby Trudeau, podpaliłby go. „Nikt nie chce być postacią z kreskówki” – mówił i twierdził, że przez **«Doonesbury»** stracił resztki anonimowości jako dziennikarz i prywatności jako obywatel. W późniejszych latach podobno pogodził się ze swoją karykaturą, a i Trudeau złożył mu należny hołd. Dwa tygodnie po śmierci Thompsona ukazał się pasek, w którym Wujek Duke opłakuje śmierć człowieka będącego jego inspiracją.

Działalność Thompsona nie ograniczała się do pisania. Próbował swoich sił również w polityce. Krytykował



Doonesbury Garry’ego Trudeau

dominujące w USA „struktury białej władzy”, pisał o równouprawnieniu Afroamerykanów, był zdeklarowanym zwolennikiem legalizacji narkotyków: „Przez pewien czas może to się odbijać na niektórych ludziach, ale moim zdaniem to jedyny sposób poradzenia sobie z dragami. Popatrzcie na prohibicję. Jedyne, co osiągnęła, to uczynienie wielu kryminalistów bogaczami”. Thompson nie poprzestawał na słowach. Udzielał się jako antyrasistowski aktywista, był rzecznikiem organizacji walczącej o depenalizację marihuany, został nawet doradcą Jimmy’ego Cartera, kiedy ten startował w wyborach prezydenckich. Kilka lat wcześniej, w roku 1970, Thompson o mały włos nie został szeryfem okręgu Pitkin County. Kandydował z ramienia partii demokratycznej Freak Power i opowiadał się m.in. za legalizacją narkotyków na własny użytek oraz zmianą nazwy Aspen na Fat City. Co ciekawe, jego kontrowersyjny, radykalny program wyborczy zyskał niemałą popularność i Thompson był o krok od objęcia urzędu, przegrał jednak niewielką liczbą głosów z kandydatem Republikanów, którego nazywał, zgoliwszy uprzednio głowę na zero, długowłosym przeciwnikiem.

Dwa lata później wydał ***Fear and Loathing on the Campaign Trail '72*** (***Łęk i odraza podczas Kampanii Wyborczej'72***) – zbiór artykułów dla Rolling Stone opisujących walkę Richarda Nixona i George’a McGoverna o fotel prezydenta. Do komentowania wydarzeń politycznych tamtego okresu skłoniły Thompsona przede wszystkim apele wielbicieli, którzy namawiali go do... wspierania kampanii wyborczej Nixona. Było to zaskakujące, ponieważ popierał McGovern, zaś o człowieku

odpowiedzialnym za aferę Watergate miał jak najgorsze zdanie: „Poda ci dłoń i w tej samej chwili wbije nóż w twoje plecy”. Niechęć do Nixona zaowocowała długoletnią krytyką jego rządów. Po śmierci byłego prezydenta w 1994 roku, Thompson napisał słynny felieton, w którym obrzucił go wieloma niewybrednymi epitetami. Jednak 10 lat później z właściwą sobie przewrotnością wyznał: „Nixon był profesjonalnym politykiem, a mnie obrzydzało wszystko, za czym się opowiadał. Ale jeśli kandydowałby w wyborach w tym roku przeciwko gangowi Busha i Cheney’a, z radością bym na niego zagłosował”. Posunął się nawet do tego, że zakwestionował oficjalną wersję ataków terrorystycznych 11 września, sugerując udział w nich administracji Busha – choć przyznawał, że nie ma na to dowodów.

W 1976 roku dostał zlecenie od Rolling Stone na reportaż o Wietnamie, gdzie dogorywał po niemal 20 latach trwania krwawy konflikt. W Sajgonie dopadł go wojenny chaos. Wietnam Południowy upadał, a inni korespondenci pragnęli jak najszybciej wydostać się z ogarniętego pożogą regionu. Już na miejscu Thompson dowiedział się, że zlecceniodawca zerwał umowę, pozbawiając go tym samym ubezpieczenia zdrowotnego i wypłaty (sam tekst o dziwo powstał, ale ukazał się dopiero 10 lat później). Nie zraziło go to chyba do reportażu wojennego, bo siedem lat później opisze amerykański desant na Grenadę. Pomimo pierwszego flirtu z kinem – w 1980 roku Art Linson zrealizował ***Where The Buffalo Roam*** z ***Billem Murrayem w roli Thompsona*** » (pisarz podobno nie znosił



Johnny Depp jako Duke w *Las Vegas Parano*

tego filmu, ale zaprzyjaźnił się z aktorem) – od końca lat 70. akcje autora **Lęku i odrazy** wyraźnie spadały. Coraz częściej zarzucano mu rozleniwienie, brak inwencji i żerowanie na minionej chwale. W następnej dekadzie, którą określał mianem „generacji świń”, jego sława wyblakła, a on sam usunął się w cień, zmagając się z uzależnieniem od kokainy i kryzysem twórczym. Rzadko przyjmował nowe zlecenia, a kiedy to robił, zwykle odmawiał ich ukończenia. W obliczu wygasających tantiem zatrudnił się jako portier w nocnym klubie, gdzie brał barbiturany i czyścił dilda. Słowem – sięgnął dna.

Dokonania Thompsona zyskały drugie życie pod koniec lat 90. wraz z premierą ekranizacji **Lęku i odrazy w Las Vegas** Terry’ego Gilliama (w Polsce wyświetlany jako **Las Vegas Parano**). Plany nakręcenia filmu na podstawie książki zrodziły się jeszcze w latach 70. Wśród reżyserów wymieniano Martina Scorsese i Olivera Stone’a, zaś w rolach

głównych mieli wystąpić Jack Nicholson i Marlon Brando. Kiedy plany realizacji projektu się przeciągały, a aktorzy postarzeli, zaproponowano Dana Aykroyda i Johna Belushiego. Film być może powstałby, gdyby nie śmierć tego drugiego. Nic nie wyszło także z projektu Ralpha Bakshiego, który chciał zrobić animację w duchu rysunków Steadmana. Nadworny rysownik Thompsona też napisał swoją wersję scenariusza **Lęku i odrazy** i przesłał go Gilliamowi. Były członek grupy Monty Python czuł jednak, że tekst nie oddaje charakteru oryginału i opracował własny. Film wszedł do kin w 1998 roku. W skórę Raoula Duke’a wszedł – niemal dosłownie – Johnny Depp, który dał sobie **ogolić głowę** » i przejął wszystkie charakterystyczne cechy Thompsona, niejako stając się jego wierną, młodszą o ćwierć wieku kopią. Aby osiągnąć taki poziom naśladownictwa, Depp zamieszkał w piwnicy Thompsona i studiował jego osobowość. Panowie zresztą bardzo się

żyli i spędzali sporo czasu, **wspólnie błaznując** ».

Obraz Gilliama nie miał dobrej prasy i przepadł w zestawieniach, ale obrósł kultem, spodobał się też autorowi pierwowzoru (który w epizodzie zagrał samego siebie) i przyczynił do ponownego zainteresowania jego dokonania. Wznowiono **Lęk i odrazę** z filmową okładką, dzięki czemu powieść dotarła do zupełnie nowego pokolenia. Warto w tym miejscu wspomnieć również o znakomitym audiobooku z 1996 roku. W jego nagrywaniu wzięli udział m.in.: Harry Dean Stanton jako narrator, Jim Jarmusch(!) w roli Duke'a i sam Thompson, którego głos otwiera i zamyka całość doprawioną specjalnymi efektami dźwiękowymi oraz muzyką wspominaną w książce. Wydano też dwa pierwsze tomy listów Thompsona, a on sam znów brylował w telewizji i prasie. Zaprzyjaźnił się z Marilyn Mansonem (który nawet namalował **portret Thompsona** ») i stał się inspiracją dla postaci futurystycznego dziennikarza Spidera Jerusalema z **komiksu Transmetropolitan** ». Thompson, znów w świetle reflektorów, nadal pił, palił i zażywał co się da, choć problemy zdrowotne – m.in. zaawansowany alkoholizm i operacja biodra – były coraz bardziej uciążliwe.

W ostatniej fazie życia pisał głównie o sporcie dla serwisu ESPN.com. Zbiór artykułów tam publikowanych ukazał się w 2004 roku pod wspólnym tytułem **Hey, Rube** i był ostatnią książką wydaną za życia Thompsona. Jednak swego rodzaju podsumowaniem życiowego dorobku była o rok wcześniejsza pozycja **Kingdom of Fear (Królestwo lęku)** – pełen goryczy komentarz na

temat minionego stulecia w Ameryce. Thompson z odrazą patrzył na sytuację USA po 11 września: „Stajemy się narodem skamłających niewolników lęku – lęku przed wojną, lęku przed biedą, lęku przed losowymi aktami terroru, lęku przed zwolnieniem z pracy z powodu tonącej gospodarki, lęku przed eksmisją za długi albo uwięzieniem w wojskowym obozie pod mętnymi zarzutami o sympatyzowanie z terrorystami” – pisał w 2003 roku i dodawał: „Nadchodzi Wielki Mrok. [...] Będzie dokładnie tak, jak opisano to w Apokalipsie: koniec świata, jaki znamy”. Ale tego już nie doczekał. 20 lutego 2005 roku odebrał sobie życie na swoim ranczu **Owl Farm** », które nazywał „zamkniętą fortecą”.

Wydaje się, że w przypadku Thompsona nie był to akt desperacji dokonany pod wpływem chwili, lecz wy kalkulowana decyzja oraz rezultat długoletnich i coraz poważniejszych problemów ze zdrowiem. Nie brakuje teorii o rządowym spisku i **zakamulowanym zabójstwie** », do czego przyczynił się zresztą sam zainteresowany, który kilka dni przed śmiercią zadzwonił do przyjaciela i powiedział mu, że wie, kto stoi za atakiem na WTC, i że przypłaci tę wiedzę życiem. Decyzja będąca wolnym wyborem człowieka, który zawsze postępował w zgodzie z samym sobą. Potwierdzają to słowa Alpha Steadmana: „Dwadzieścia pięć lat temu powiedział mi, że czułby się uwięziony, gdyby nie wiedział, że w każdej chwili może popełnić samobójstwo. Nie wiem, czy to odwaga, głupota, czy co, ale to było nieuniknione. [...] Jeśli zastanawiacie się, czy trafi do piekła czy nieba, zapewniam, że od-

wiedzi oba miejsca, dowie się, gdzie jest Nixon – i pójdzie właśnie tam. Nie potrafił znieść nudy. Ale musi być tam też futbol. I pawie”.

W liście napisanym przed śmiercią do kilkuletniego wnuka Thompson radził: „Noś głowę wysoko, zdobywaj świat, naucz się arabskiego, kochaj muzykę i nigdy nie zapominaj, że pochodzisz z długiej linii kochanków, wojowników i poszukiwaczy prawdy”. Pogrzeb w sierpniu 2005 roku został sfinansowany przez Johnny'ego Depa. Zgodnie z ostatnią wolą zmarłego, przy dźwiękach **Mr. Tambourine Man** Boba Dylana i **Spirit in the Sky** Normana Greenbauma, trzy setki osób obserwowały, jak prochy Huntera S. Thompsona wzbijają się w przestrzeń wystrzelone z działa armatniego umieszczonego na 50-metrowej wieży o kształcie pięści z dwoma kciukami,

ściskającej krążek peyotlu. Ceremonii towarzyszyły wielobarwne fajerwerki. Kolorowo i hałaśliwie. Zupełnie adekwatnie, biorąc pod uwagę, kogo żegnano.

W 1966 roku pisał: „Krawędź... Nie sposób wyjaśnić, co to takiego, bo jedyni, którzy tak naprawdę wiedzą, już ją przekroczyli. Pozostali – żywi – to ci, którzy igrali z losem na tyle, na ile mogli sobie pozwolić, a potem się wycofali, zwolnili tempo albo zrobili jeszcze coś innego, gdy trzeba było wybrać między Teraz a Później. Ale Krawędź nadal tam jest, na zewnątrz. A może w środku”.

Maciej Kaczmarek

P.S. Autor artykułu wspomagał się podczas pisania jedynie żółtym serem, wodą mineralną i niewielką ilością tytoniu.



Hunter S. Thompson



PREMIERY.

gier

#RTS #II wojna światowa

Company of Heroes 2

Studio Relic powraca do tego, co potrafi robić najlepiej. I choć nie jest to kolejna część **Warhammera**, to też jest... no, przynajmniej bunkry są. **CoH 2** to kontynuacja w najlepszym tego słowa znaczeniu – więcej, lepiej i jakby poważniej. Fabuła przenosi nas na front wschodni, przedstawiając okrutne starcia sił niemieckich z ZSRR podczas Operacji Barbarossa. Starcia, w których głównym przeciwnikiem jest nie tylko hitlerowski snajper czający się w oknie, ale także doskwierający mróz dziesiątkujący szeregi obydwu stron. Na uwagę zasługuje przede wszystkim niecodzienny ton rozgrywki. Nie znajdziemy tu tandetnego heroizmu, który ukazuje rosyjskich żołnierzy jako prawdziwych bohaterów. Zamiast tego jest kulka w potylicę za ucieczkę z pola bitwy i niestosowanie się do rozkazów przełożonych. Dużo tu również poświęcania żołnierzy w imię wyższego dobra i idiotycznej doktryny Stalina. Człowiek zamiast satysfakcji po przejściu kolejnej misji, odczuwa smutek, a niekiedy złość. Takie było zamierzenie twórców. Należy mieć to na uwadze, decydując się na zakup.



#hack'n'slash #fantasy

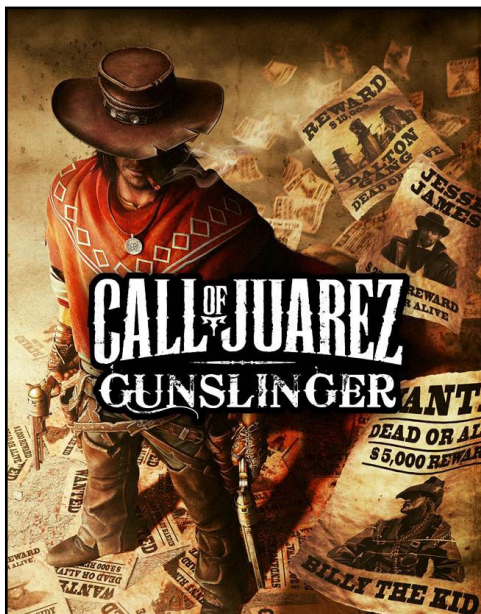
The Incredible Adventures of Van Helsing

Van Helsing pojawił się znikąd i pokazał, że studia z niezbyt wygórowanym budżetem również potrafią stworzyć coś ciekawego. Szczególnie, jeżeli jest to klasyczny duplikat **Diablo** osadzony w o wiele bardziej interesującej scenarii. Nie powiecie przecież, że klimat rodem z **Draculi** Brama Stokera nie jest atrakcyjny. Nietypowym podejściem, będącym połączeniem gotyckiej XIX-wiecznej Europy z tandetnym humorem, twórcy wykupili sobie przepustkę do drugiej części, która swoją drogą już powstaje. Podczas rozgrywki wiadać, że deweloperzy idealnie odrobili zadanie domowe. **Van Helsing** pełnymi garściami czerpie z dorobku **Diablo** czy **Torchlight**, dorzucając od siebie kilka trafnych rozwiązań, chociażby w postaci towarzyszącego nam ducha Katariny. Szkoda tylko, że potencjał został całkowicie pogrzebany przez tandetny tryb wieloosobowy. Dlatego też **Van Helsing** to niestety przygoda na jeden raz.

#FPS #western #akcja

Call of Juarez: Gunslinger

Rodzimy Techland miał nie lada orzech do zgryzienia. Musiał przekonać fanów, że **The Cartel** był jednorazowym wypadkiem przy pracy, który ostatecznie przyczynił się do zwiększenia ogólnej formy studia. Wszakże człowiek uczy się na własnych błędach, prawda? W przypadku wrocławskiego dewe-



lopera tak się właśnie stało, bowiem **Gunslinger** to najlepsza opowieść o Dzikim Zachodzie, jaką ostatnio miałem okazję skonsumować. Wśród poważnych, sztamowych historii siłących się na niesamowity realizm, **Gunslinger** po prostu wychodzi przed szereg i pakuje kulę między oczy swoim przeciwnikom. W samo południe. Przy okazji napada na pędzący pociąg i oczyszcza saloon z typów spod ciemnej gwiazdy, znajdując ukojenie w szklaneczce whisky. Wrocławska gra to lekkostrawna opowieść o Dzikim Zachodzie, dostarczająca tego wszystkiego, czego człowiek potrzebuje – niczym nieskrępowanej akcji okraszanej świetnie osadzoną w prawdziwych realiach fabułą. Aż ma się wrażenie, że to wydarzyło się naprawdę.

#wyścigi #zręcznościówka

GRID 2

Jedna z najbardziej wyczekiwanych gier tego roku i przy okazji również jedno z większych rozczarowań. Okazuje się bowiem, iż studio Codemasters postanowiło zerwać z przeszłością i zrezygnować z idealnego wyważenia elementów symulacyjnych oraz zręcznościowych na rzecz tylko i wyłącznie tych drugich. **GRID 2** to wciąż całkiem niezła ścigałka, która z pojedynku z innymi grami wyjeżdża zwycięsko. Jednakże brakuje jej ostatnich szlifów – lepszego modelu jazdy, bardziej przemyślanego trybu wieloosobowego i widoku z kokpitu, który zrobił furorę w pierwowzorze i był później idealnie rozwinięty przez konkurencyjnego **Shifta**. Radość z po-

Skala ocen:

Balls of steel

Headshot!

I live, again

Let's rock

War. War never changes

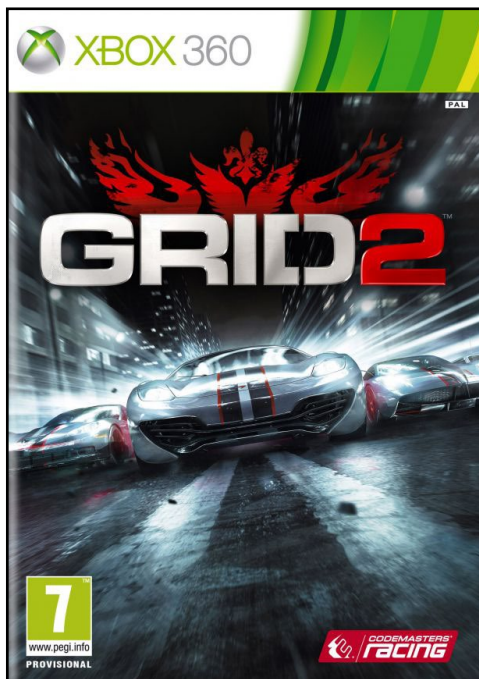
Przed wyruszeniem w drogę,
należy zebrać drużynę

Finish him!

Bomb has been planted

**
Blood for the Blood God

*
Game over

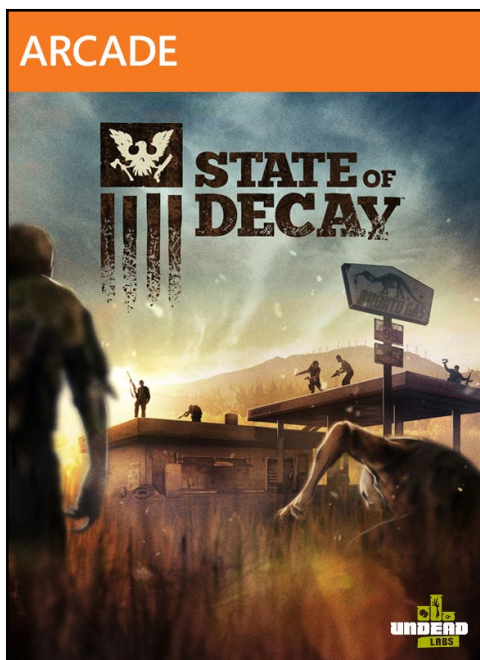


konywania ostrych zakrętów w słonecznym Dubaju czy driftowania na wzgórzach Hong Kongu jest ogromna, jednak pewien niesmak pozostaje.

#zombie #survival #TPP

State of Decay

Połączenie **Simsów**, **GTA** i jakiegokolwiek gry z zombiakami w roli głównej? Czy coś takiego może się w ogóle udać? Nie byłem co do tego przekonany, dopóki sam nie zagrałem. A teraz siedzę, zastanawiając się, jak można było zrujnować tak dobry koncept techniczną nieudolnością twórców. Prawdopodobnie zabrakło nie tylko pieniędzy, ale również czasu, wszak na horyzoncie majaczy już nowa generacja konsol. A takiego potworka nie przystoi wydawać równolegle z nowoczesnymi tytułami, prawda? Na szczęście **State of Decay** ma w sobie to coś, co przyciąga do monitora na długie godziny. Motyw przetrwania w świecie opanowanym przez zombie jest tu nad wyraz rozbudowany, a śmierć jest permanentna. Oznacza to, że po nieudanej akcji nie można po prostu wczytać wcześniejszego stanu gry. Trzeba przeżyć i nieść ciężkie brzemię, niosąc pomoc innym ocalałym. **State of Decay** to jeden z tych tytułów, który oczarowuje konceptem i jednocześnie odrzuca wykonaniem. Z tego powodu racjonalna ocena jest po prostu niemożliwa.



#TPP #survival #przygoda

The Last of Us

Gra studia Naughty Dog to wręcz idealne zwieńczenie obecnej generacji sprzętowej i wielka nadzieja na jeszcze lepsze, głęboko chwytające za serce tytuły w przyszłości. Jest to klasyczna opowieść drogi, w której konflikt dwóch osobowości musi zostać zwalczony na rzecz przetrwania w brutalnym, pozbawionym jakichkolwiek zasad świecie. Ten opanowany jest przez zarodniki zamieniające ludzi w bezmyślne, żądne mordy istoty. Jest to świat, w którym rządzi przemoc i brak poszanowania dla bliźniego. Zmęczony życiem przemytnik i czternastoletnia dziewczyna muszą sobie zaufać, by dotrzeć do upragnionego celu – z pozoru bezpiecznego schronienia pośród przyjaciół. Nim jednak tego dokonają, będą musieli nauczyć się współpracy, aby przetrwać nawet w najbardziej beznadziejnych sytuacjach. **The Last of Us** trudno przypisać do jednego gatunku. To po prostu świetna, przejmująca opowieść o przetrwaniu, której spokojnie można przypisać miano dzieła.

Przygotował: Wojciech Onyszków



Tajemnice moskiewskiego metra

Jeżeli miałbym wymienić jedną grę, która w idealny sposób odzwierciedla klimat książki i przy okazji broni się własnym pomysłem na rozgrywkę, byłoby to **Metro: Last Light**. Tytuł przytłaczający, bezprecedensowy, klaustrofobiczny, na długo zapadający w pamięć. Ukraińcy z 4A Games trafili w złoty środek, serwując nam wciągający gameplay osadzony w niezwykle urokliwym, choć niesamowicie nieprzyjaznym uniwersum wykreowanym przez **Dmitrija Głuchowskiego**.

Metro: Last Light podejmuje wątek rozpoczęty w poprzedniej części – **Metro 2033**. Po raz kolejny wcielamy się w postać Artema, by rozwikłać tajemnicę powiązaną z Czarnymi, którzy

na potrzeby polskiej wersji językowej gry zostali przemianowani na Cienie. Naszym zadaniem jest odnalezienie ostatniego ocalałego z obcej rasy i wyjaśnienie powiązania pomiędzy nim a głównym bohaterem. Nie chcąc spoilerować, nadmienię tylko, że w trakcie rozgrywki Artem wielokrotnie szargany będzie wyrzutami sumienia związanymi z wydarzeniami mającymi miejsce podczas zakończenia **Metro 2033**.

Warto jednak zaznaczyć, iż gra nie jest adaptacją książkowego **Metro 2034**. Historia tu przedstawiona będzie szerzej opisana przez Dmitrija Głuchowskiego w nieopublikowanej jeszcze, choć nadchodzącej wielkimi krokami (o czym świadczą między innymi plakaty porozwieszane w świecie gry) kontynuacji – **Metro 2035**. Nie



Metro: Last Light



zmienia to jednak faktu, że scenarzyści z ukraińskiego studia 4A Games spisali się na medal. Fabuła jest spójna z poprzednią częścią, wciągająca i co najważniejsze – mocno osadzona w uniwersum **Metro**.

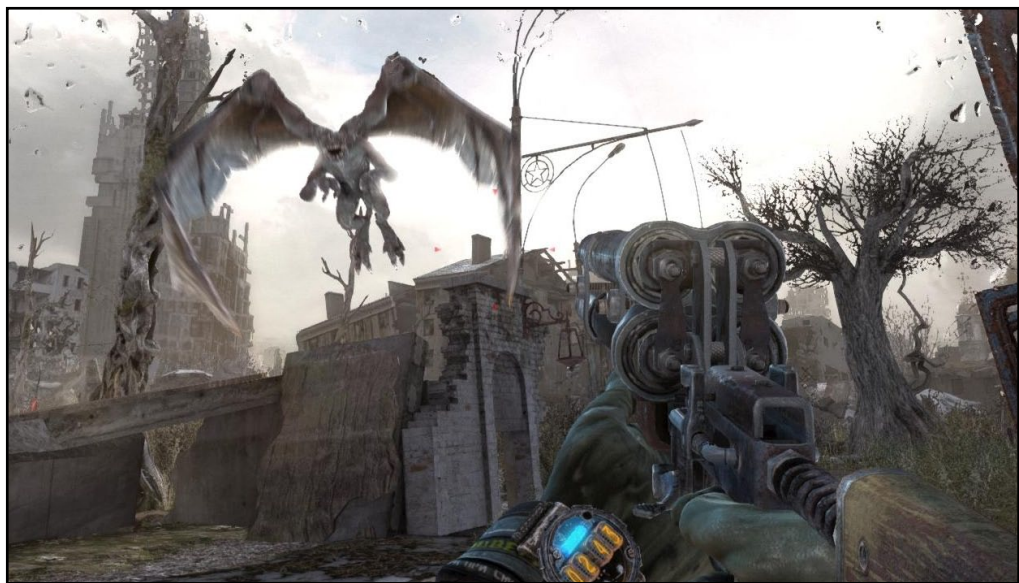
Świat przedstawiony w grze rządzi się własnymi prawami. Garstka ocalałych, skupiona wokół większych społeczności zamieszkujących moskiewskie metro, żyje własnym życiem. Rybacy wracają z radioaktywnych połowów, stalkerzy przeszukują zapomniane korytarze, żołnierze tną w karty, popijając gorzałę, a panie lekich obyczajów za odpowiednią opłatą oferują taniec erotyczny. Nic nie stoi na przeszkodzie, aby w przerwie pomiędzy kolejnymi przygodami skorzystać z którejs z powyższych uciech.

Metro: Last Light to gra, dzięki której można nabawić się klaustrofobii. System korytarzy zmusza nas do przeciskania się małymi otworami, często w panicznej ucieczce przed

radioaktywnymi pająkami czy innymi mutantami. Odmęty ciemności, przecinane przez liche światło pochodzące z właśnie rozładowującej się latarki, skrywają tajemnice, które często lepiej pozostawić w spokoju. Takie też jest zamierzenie gry – można ją przejść jako Rambo, mordując wszystko na swojej drodze (o ile to „coś” wcześniej nie zrobi tego z nami), ale równie dobrze można się zabawić w skradanie, oszczędzając amunicję. A ta pełni też rolę waluty. To za nią kupujemy nową broń bądź też filtry do maski gazowej. Każdy pocisk jest na wagę złota.

Sytuacja zmienia się na gorsze, gdy wyjdziemy na powierzchnię. **Metro: Last Light** to jedna z nielicznych gier, w których świat zewnętrzny przeraża jeszcze bardziej, niż mroczne korytarze. To właśnie tutaj możemy w głębokim zamyśleniu podziwiać efekty wojny nuklearnej, które zamieniły żywe miasto w ruiny zamieszkałe przez stworzenia wyjęte wprost z najgor-





szych koszmarów. Pierwszy kontakt ze świeżym powietrzem sprawia, że zatrzymujemy się na wzgórzu, wlepiając oczy w fascynujący horyzont. Horyzont namalowany szarą, ponurą barwą, którą przyćmić potrafią jedynie rażące promienie wschodzącego słońca.

Pomimo iż **Metro: Last Light** od początku do końca prowadzi nas wytęszoną ścieżką, oferuje także kilka nieobowiązkowych odnóg fabularnych. Dzięki temu czujemy, że załatwiamy sprawy po swojemu, idąc tam, gdzie akurat mamy ochotę. Niekiedy poprowadzi nas to w odrażające miejsca. Widok dwóch bandytów usiłujących zgwałcić pojmaną kobietę to tylko jedna z takich sytuacji. Tylko od nas zależy, czy im w tym przeszkodzimy, czy może w ukryciu podsłuchamy dalszej części.

Chłopaki z 4A Games poważnie wzięli sobie do serca sugestie fanów związane z **Metro 2033**. Dzięki temu udało im się wyeliminować niedocią-

gnięcia modelu strzelania, który teraz nie odstaje od topowych produkcji. Pociągnięto również takie smaczki, jak przecieranie maski gazowej ręką, wymiana filtrów do tejsze czy chociażby ładowanie baterii latarki za pomocą przenośnej prądnicy. Wszystko to sprawia, że Artem staje się częścią nas, czy raczej my stajemy się częścią niego, przenosząc się do moskiewskiego metra.

Ukraińskie studio pokazało, jak powinny wyglądać liniowe strzelanki. Okraszone spójną, intrygującą fabułą, osadzone w dobrze przemyślanym świecie i na kilometr emanujące soczystym klimatem. Na takie gry warto czekać, bo oferują coś więcej, niż możliwość postrzelania do przeciwników. Coś, co sprawia, że wydarzenia na ekranie przemawiają do naszego wnętrza, zmuszając nas do zastanowienia.

Wojciech Onyśków

#targi #zapowiedzi

E3 2013

Tegoroczne targi E3 upłynęły pod znakiem konsol nowej generacji i kontrowersji z nimi związanych. Nie wdając się jednak w zbędne szczegóły, postanowiłem skupić się na najlepiej zapowiadających się grach, wszak te powinny interesować nas najbardziej. A trzeba przyznać, że w tym roku studia deweloperskie dołożyły do pieca, wręcz do czerwoności rozgrzewając swoich fanów.

#wyścigi #otwarty świat #arcade

The Crew

Bardzo się ucieszyłem, gdy Ubisoft na swojej konferencji zapowiedział nową markę, która w dodatku jest samochodówką. Pierwsza myśl, jaka przyszła mi do głowy po obejrzeniu

zwiastuna, wiązała się z końcem dominacji serii **Need for Speed**. W końcu ktoś ma szansę zrzucić z piedestału te tandetne podróby **Burnouta**. **The Crew** ma być nastawione na rozgrywkę wieloosobową, o czym w zasadzie świadczy już sam tytuł. To, co już teraz zapowiada się niezwykle, to możliwość



The Crew





Murdered: Soul Suspect

przejechania wzdłuż i wszerz całych Stanów Zjednoczonych. Gracze nie będą jednak ograniczeni do samych dróg. Równie dobrze można wskoczyć w terenówkę i udać się na wycieczkę po dzikich preriach i niekończących się pustkowiach. Brak ograniczeń w połączeniu z ciekawym pomysłem na tryb wieloosobowy, w którym pierwsze skrzypce będą odgrywać zmagania drużynowe, przekonuje mnie, by już teraz pomachać Electronic Arts, siedząc na tylnym siedzeniu odpicowanej bryki Ubisoftu.

#kryminał #przygodowa

Murdered: Soul Suspect

Czy rozwiązanie zagadki własnego morderstwa jest sprawą trudną? Na takie pytanie starają się odpowiedzieć panowie ze Square Enix, tworząc **Murdered: Soul Suspect**. Nietypowe podejście do tematu kryminału już na wstępie zaskarbiło sobie moją sympatię. Śledz-

two prowadzone będzie w niezwykle oryginalny sposób. Detektyw w postaci ducha może wnikać do umysłów innych ludzi, aczkolwiek jego ruchy są ograniczone, dlatego o przenikaniu przez ściany możemy zapomnieć, co podobno jest wytłumaczone fabularnie. Historia rozgrywa się bowiem w miasteczku Salem. Tym samym, w którym w XVII wieku trwały słynne procesy czarownic. Wtedy też ludność w obawie przed złymi duchami zabezpieczała swoje domostwa zaklęciami ochronnymi. **Murdered: Soul Suspect** jawi się jako ciekawe połączenie **Heavy Rain** i **LA: Noire** z bardziej mistyczną otoczką, która powinna wygenerować nieprzyjazny czy wręcz ciężki klimat.

#TPP #cRPG #postapokalipsa

Tom Clancy's: The Division

The Division to druga niespodzianka, która wypłynęła ze stajni Ubisoftu. Francuski koncern po raz kolejny sta-

wia na słynnego pisarza, pokazując, że jego prozę można wykorzystać na tysiąc różnych sposobów. Tak oto powstało sieciowe RPG akcji osadzone w nieprzyjawnym świecie opanowanym przez wyniszczającego wirusa. Całe Stany Zjednoczone w ciągu zaledwie tygodnia zostały zarażone tajemniczą chorobą, która rozniosła się za pomocą banknotów. Jak to w takim przypadku bywa, do najbardziej newralgicznych punktów w kraju zostały wysłane specjalne oddziały agentów z zadaniem zaprowadzenia porządku. Nie będzie to jednak łatwe, wszak każdemu upadkowi cywilizacji towarzyszy chaos i brak jakichkolwiek zasad. Nieprzyjawnie środowisko tworzyć będą sami gracze, łącząc się w grupy i wspólnie atakując wcześniej obrane cele. Zdaje się, że postapokaliptyczny świat w grach komputerowych jeszcze nigdy nie przybrał tak interesującego kształtu. Oby tylko otwarta struktura

The Division nie okazała się jednocześnie gwoździem do jego trumny.

#cRPG #Sapkowski

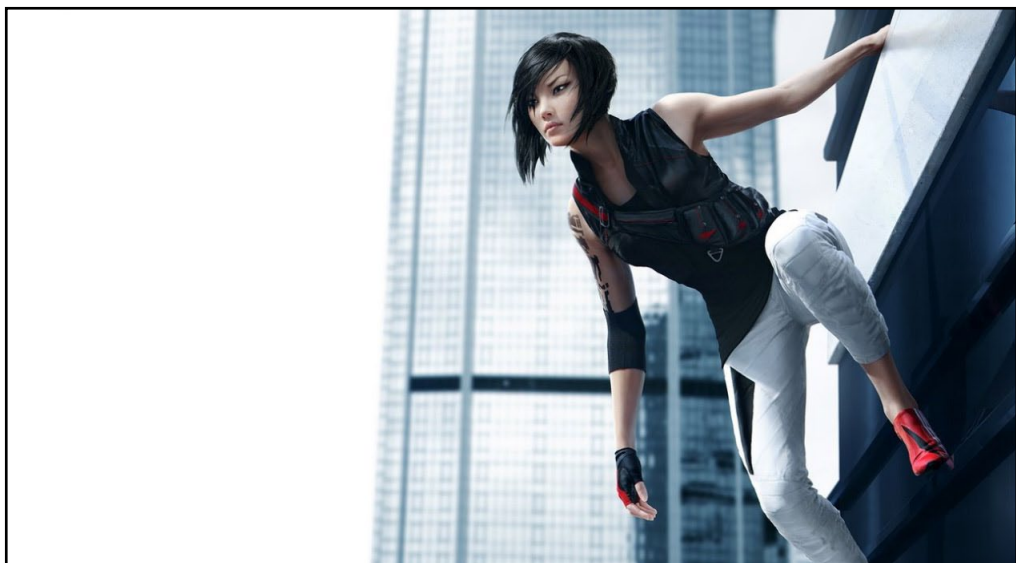
Wiedźmin 3: Dziki Gon

Gdy o polskiej produkcji dowiadujesz się, śledząc informacje zza oceanu, wiedz, że coś się dzieje. Gdy zaprezentowany wycinek gry przekracza swoją wielkością poprzednią część serii, wiedz, że... będzie to tytuł niebywały.

Dziki Gon już teraz zapowiada się jako pogromca wszystkich dotychczasowych cRPG-ów ze **Skyrimem** na czele. Ogromny, otwarty świat, multum pozornie niezwiązanych ze sobą zadań i swojski klimat wykreowany przez Andrzeja Sapkowskiego – czy można chcieć czegoś więcej? Geralt przez lata występów na ekranach monitorów nauczył się pływać, skakać i wykonywać piruety, nie zważając na swój zaawansowany już wiek. Polscy deweloperzy z CD Projekt Red przywiązują uwagę



Wiedźmin 3: Dziki Gon



Mirror's Edge

do najdrobniejszych szczegółów, dzięki czemu trudniące się rybołówstwem kmiecie nie wypłyną w morze podczas szalejącego sztormu. Takie drobności budują wspaniałą całość, której prawdopodobnie nie zapomnimy przez wiele następnych lat, podobnie jak teraz pamiętamy o poprzednich częściach.

#cRPG #Sapkowski

Mirror's Edge

Powrót Faith to według mnie najlepsza wiadomość tegorocznych targów, które obfitowały przecież w ogrom ciekawych gier. **Mirror's Edge**, poza ujawnieniem krótkiego zwiastuna, nie zostało nawet zaprezentowane, a mimo wszystko wywalczyło sobie miejsce w tym rankingu. Czymże takim? Orwellowskim klimatem, sterylną i niezwykle fascynującą oprawą graficzną, parkourem i główną bohaterką – intrygującą i tajemniczą Faith, która wal-

czy z wrogim ustrojem. Kolejna część ma być restartem serii, który rzuci ją w otwarty świat. Trochę martwi, że twórcy po zaledwie jednej części muszą ratować się ponownym wznowieniem, jednak jeśli ma to wyjść grze na dobre, nie można mieć nic przeciwko takim działaniom. Tym bardziej, że tytułów tak charakterystycznych, ujmujących i miażdżących klimatem jest aktualnie jak na lekarstwo.

Wojciech Onysków



XBOX 1984

Teleekran służył równocześnie za odbiornik i nadajnik, dostatecznie czuły, żeby wychwycić każdy dźwięk głośniejszy od zniżonego szeptu; co więcej, jak długo Winston pozostawał w zasięgu metalowej płyty, był nie tylko słyszalny, lecz także widoczny.

George Orwell, *Rok 1984*

Spokojnie, to tylko wolna gra skojarzeń. Żadne oskarżenia czy teorie spiskowe. Tylko, że jakoś nie mogę się tego skojarzenia pozbyć. Gdy śledziłem wieści z targów E3 w Los Angeles, nie mogłem zrozumieć doniesień ze stoisk Microsoftu. Przeczytałem, że ich nowy produkt – XBOX ONE, następca konsoli XBOX 360 – aby działać, będzie musiał być podłączony do internetu, a kamera i mikrofon Kinecta będą aktywne, gdy tylko urządzenie wykryje, że jest podpięte do źródła zasilania. W dodatku panowie z Microsoftu nie potrafili właściwie uargumentować tych decyzji, tłumacząc jedynie ogólnikowo, że „proponują produkt nowej jakości”. Całe szczęście (dla siebie) Microsoft w końcu zrezygnował z większości wymienionych pomysłów.

Można odnieść wrażenie, że przeżywamy właśnie szczyt niepokojących doniesień na temat relacji między nowymi technologiami a prywatnością. I nawet jeśli nie możemy mieć pewności co do niektórych informacji (np. na temat programu PRISM), to widzimy pewną tendencję, której nie sposób zaprzeczyć.

Na przykład tzw. internet rzeczy, który daje coraz więcej swobody urządzeniom – od telefonu do lodówki – w wysyłaniu w świat informacji o nas, ale bez naszej wiedzy. Przechowywanie danych w chmurze dezorientuje nas tak, że nie wiemy, co i gdzie udostępniamy. Większości ludziom brakuje wiedzy na temat możliwości, jakie mają posiadane przez nich urządzenia – szczególnie, jeśli chodzi o kwestię tzw. geolokalizacji. Czy zdajemy sobie sprawę, że nasze telefony z GPS-em zapisują w zdjęciach dane o współrzędnych geograficznych fotografowanego miejsca? Czy wiemy, że sami później wysyłamy w świat taką informację, udostępniając fotkę na Facebooku? To jeszcze nic złego, jeśli zdjęcia przedstawiają tylko nas samych, ale niestety funkcja „oznaczania znajomych” zdradza lokalizację tych osób, które mogą sobie tego nie życzyć. Do tego dochodzi wymóg rejestracji, w czym prym wiedzie firma Google, która praktycznie uniemożliwia uruchomienie urządzeń z systemem Android bez połączenia go ze swoim kontem, np. poczty Gmail.



Dzięki temu Google ma już absolutny komplet informacji na nasz temat – od prywatnej korespondencji po uzyskane osiągnięcia we Fruit Ninja.

Jakby tego było mało, na jaw wyszło, że Amerykanie wszystkie te informacje gromadzą. Jest to zgodne z ich prawem, które chroni prywatność, ale tylko obywateli USA (z kolei dane o nich zbiera najprawdopodobniej wywiad brytyjski, który następnie wymienia się ze służbami amerykańskimi na informacje o swoich obywatelach).

Nie nadążamy za rozwojem technologii. Trudno jednak tego wymagać, jeśli toczy się on w takim tempie jak obecnie. Z reguły mamy ciekawsze zajęcia niż studiowanie niebezpieczeństw związanych z posiadanym przez nas sprzętem. Nie wydaje się też właściwe popadanie w skrajność, bo np. co z tego, że ktoś się dowie, że mieszkam w Gdyni? Przecież to żadna tajemnica. Chodzi jednak o pewien niepokój, który obecnie trudno jeszcze dokładnie wyjaśnić. Może to być sentyment za dawną epoką, w której łatwiej było pozostać anonimowym. Tylko właściwie... po co? Do czego potrzebna jest nam anonimowość? Wbrew pozorom jest to pytanie, na które trudno merytorycznie odpowiedzieć. Nie mam tu na myśli odpowiedzi w stylu „bo ja sobie nie życzę”. Oczekuję odpowiedzi rzeczowej, podpartej solidnymi argumentami. W wielu społeczeństwach anonimowość czy nawet intymność jest drugorzędna. Podobnie było też jeszcze kilka wieków temu w naszej kulturze, która nie posiadała pojęcia „spraw osobistych”. Od dłuższego czasu odnoszę wrażenie, że potrzebne jest zredefiniowanie pojęcia „osoby publicznej”, bo poniekąd każdy obecnie staje się „publiczny”, gdy zaczyna umieszczać w internecie informacje na swój temat. Jest to znak naszych cza-

sów, ale też może rodzaj powrotu do przeszłości.

Patrząc zdroworozsądkowo, istnieje tylko jedna ścieżka argumentacji za obroną anonimowości – łączy ona wiedzę z władzą. Nie porusza mnie nic poza tym. Jakaś firma będzie chciała mi wciśnąć swój produkt? Znam swoje potrzeby i jestem konsumentem wystarczająco odpornym na marketingową kreację potrzeb. A jeśli przedstawią mi ofertę rzeczywiście dopasowaną do mnie, to nawet lepiej. Problem może stanowić władza – stąd cytat rozpoczynający ten felieton. Czy to rzeczywisty szantaż, czy też niepokój bycia obserwowanym (jakkolwiek jest wyłącznie kulturowy, to bez wątpienia silnie zakorzeniony) mogą być środkami uzyskania lub utrzymania władzy. Ale władzę od wieków uzyskiwano najgorszymi metodami, a państwa totalitarne powstawały i bez internetu. Dlatego być może wystarczy kontrolować sytuację, bić na alarm, gdy coś się dzieje, i utrzymywać w społeczeństwie pewien stopień świadomości potencjalnych zagrożeń, aby można było im zapobiec.

Niepokoje są budzone przez nie wiadome. Nigdy jeszcze w historii nie mieliśmy podobnej sytuacji. Obecną „rewolucję informacyjną” możemy jedynie spróbować porównać do „rewolucji przemysłowej” w XVIII i XIX wieku – szybkiego rozwoju techniki, który istotnie zmienił sposób życia człowieka. Współczesny rozwój technologii również wpłynie na codzienność ogromnej części ludzkości. Niestety, chyba nam jeszcze nie wystarcza wyobraźni, aby ujrzyć to, co właściwie nas czeka. Możemy się jedynie domyślać, że zmiany będą gruntowne.

Tadeusz Bisewski